

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



J.I.KRASICKI

**PROFESOR
MILCZEK**

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdansk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PROFESOR MILCZEK

(Historyjka)

Mało komu znana postać. Mój Boże! Nawet nie bardzo stare rzeczy tak się łatwo zapominają; półroczny grób to już często zagadka, a z wielu żyjących po pięćdziesięciu latach garstka popiołu i czeze nazwisko, jeżeli i ono zostanie. Tak się to pono stało z tym poczciwym profesorem Milczkiem. Nie było to jego właściwe nazwisko, ochrzcili go nim studenci. Myśmy go na ławach uniwersyteckich zwali panem Damianem Palcewiczem. Już wówczas, gdyśmy z nim razem na lekcje Capellego i Münicha chodzili, Palcewicz potajemnie brał się do pióra, ale to była tajemnica stanu, sekret, który przypadkiem tylko podchwycić ktoś zdołał. Wstydział się tego i zapierał. Byłem z nim bliżej, więc po długich naleganiach przyznał mi się wreszcie, że rzeczywiście pisać zamyśla...

– Bo to, widzisz – rzekł mi – oprócz pana Joachima¹ i kilku, co drabują po archiwach, do historii nie ma nikogo. A to, co się u nas historią zowie, czy nią jest w istocie? Materiał to surowy, w który nikt ożywczego nie tchnął ducha. Więc myślę, po cichu... naprzód uzbierać tego materiału jak najwięcej, a potem... potem żyć z nim, wcielić, przetrwać go w sobie i – dopiero historię pisać. A! Żebyś wiedział – dodał z zapałem – jak mi się już teraz ta moja księga dziejów wydaje cudownie piękną! Taką ona pewnie nigdy nie będzie, ale o niej marzę jak o kochance.

Po tym wyznaniu, które skracam wiele, nie mówiliśmy już z nim więcej; losy nas wkrótce rozdzieliły, ja wyjechałem na wieś, on z oczów mi zniknął. W lat kilka, długich i obfitych w wypadki... przejeżdżając przez S... dowiedziałem się przypadkiem, że Damian jest profesorem historii przy tamtejszym gimnazjum. Jakże nie wstąpić, nie pozdrowić dawnego towarzysza, nie ścisnąć dłoni, nie przypomnieć ciężkich lat próby razem przebytych! Pobiegłem do niego; zajmował parę pokojów w gmachu szkolnym... pełnym ksiąg i papierów. Uściskaliśmy się ze łzami.

– Cóż porabiasz? Co się z twoją historią stało? – zapytałem po pierwszych powitaniach. – Porzuciłeś ją?

– A! Uchowaj Boże! – zawołał – głębiej w niej siedzę zatopiony niż kiedykolwiek. Wybrałem cudowną epokę, zakochałem się w niej, pracuję nad nią i najrozkoszniejsze dni życia mojego jej winienem. Wystaw sobie to odgrzebywanie spod popiołów zagrzebanego w nich życia i skarbów. Co chwila odkrycie nowe, błysk... cudo! Wstają mi z martwych postacie... widzę je wyraźniej co dzień, oblicza ich się rumienią, usta przemawiają... Uczę się rozumieć ich mowę... Epoką tą jest panowanie Zygmunta Augusta. Wystaw sobie tło tego XVI wieku: odrodzenie sztuki, ruch umysłów, obudzenie się chrześcijaństwa w skostniałych zamrożonego pętlach... to tło europejskiej kultury, na którym występują takie charaktery, jak Zygmunt Stary, Bona, Kmitowie, Orzechowscy... nowatorowie religijni, takie kobiety, jak Barbara i Jagiellonki... taki dwór! Co to za obraz! A jak obfity materiał!...

¹ Tł. Lelewela (przyp. aut.).

– Jużeś go zebrał? – spytałem.

– A! Nie! Jeszcze tego nie mogę powiedzieć, jeszcze mi tego nie dosyć, jeszcze tysiące tomów zostaje do przepatrzenia, do mozolnego zbadania, ale jestem na drodze... stopy notat leżą...

– A więc praca pociągnie się jeszcze długo?

– Czyż ja wiem? Mnie przy niej lata upływają jak błyskawice... Rozpocząłem już redakcję kilku rozdziałów i musiałem porzucić przekonawszy się, że o prawodawstwie, które tu ważny moment stanowi, nie jestem przygotowany mówić kompetentnie. Studiuję prawo i prawodawstwo współczesne europejskie.

Mówiliśmy potem o czym innym. Wieczorem profesor pokazywał mi zapisane księgi całe... studia cenne, ale ułamkowe. Cieszyliśmy się z nim razem i życząc mu powodzenia rozstałem się z nim nazajutrz rano...

Było to jeśli się nie mylę, około 1839 roku. Przeniosłem się na Wołyń i profesor Damian ze swoją historią zszedł mi z oczów... Znowu lat kilka zbiegło szybko... mnie przy na wpół gospodarskiej, wpół literackiej pracy... a światu na przerabianiu pojęć, idei i historii współczesnej coraz nowym krojem...

Jednego ranka postrzegłem pocztową bryczkę zajeżdżającą przed ganek: jakież było zdziwienie moje, gdy wyszedłszy poznał (nie od razu) w bladym i o zmęczonej twarzy podróżnym dawnego towarzysza...

– Cóż ty tu robisz i jaki szczęśliwy traf? – zawołałem prowadząc go do swojej przybudówki dla książek moich skleconej. Nierychło mogłem jednak dopytać się u Damiana, że jechał... korzystając z wakacji, do biblioteki, w której pewne studia spodziewał się dokonać.

– A coż się z historią dzieje? – podchwyciłem.

– A! Z historią! – rzekł jakby zawstydzony – smutna to ta historia moja... Wystaw sobie, jużem był w połowie pracy... alem się w sam czas opatrzył, że się wiele pojęć i warunków zmieniło... Urosły wymagania. Muszę myśleć nad filozoficznym poglądem na epokę, w harmonii będącym z dzisiejszymi wymaganiami nauki... inaczej dzieło będzie trącić zadawnianymi teoriami... I – dodał – historię teraz inaczej piszą, więcej muszę zbadać literaturę, obyczaję, kulturę narodu... to nieodzowne... To, com zrobił, było jakby rysunkiem, kolorytu mu braknie, koloryt zdobyć muszę...

Mówiliśmy o tym długo. Damian westchnął.

– Jest to praca Penelopy. Co dziś się robi, jutro przerabiać potrzeba, przeinaczać... wypełniać, wczorajszy trud łamać. To coś jak ten pałac Stanisława Augusta na Ujazdowie, co miliony kosztował – co roku mury w nim łamano i w końcu król zmuszony był miastu oddać go na koszary.

Żał mi było biedaka; zawczasu siwieć poczynął. Pomimo lat straconych on sam zachował zapal dawny dla swego ideału historii.

– A! Te ofiary – mówił – to nic, bylebym dożył tego, ażebym zobaczył dokończoną pracę moją i taką, taką, jaką ja ją w duszy mej noszę! Pełną, wielką, piękną, cenną dla uczonych, zrozumiałą dla prostaczków, ponętą jak powieść, rozgrzewającą jak poezja... prawdziwa jak karta z życia.

Dwa dni zatrzymałem u siebie profesora tym w końcu, żem mu wynalazł parę niedrukowanych ustaw Zygmunta Augusta dotyczących się zarządu ekonomii i lasów królewskich. Narzeczcie pożegnaliśmy się rozrzewnieni, w progach, mówiąc cicho: – Kto wie, czy się jeszcze kiedy w życiu spotkamy!

Alę, dobre to przysłowie: góra z górą... Wypadła podróż niespodziana na Litwę i znalazłem się znowu jednego wieczora w S... Na myśl mi przyszedł Damian i jego historia. Student szedł ulicą – zapytałem go o profesora. Uśmiechnął się.

– A! Pan pyta o profesora Milczka?

– Jak to? Dlaczego Milczka?

– Bo my go tu tak nazywamy i wszyscy go tak nazywają...
– Rozumiem – rzekłem uśmiechając się – profesor Damian mówić nie lubi!
– Tak, i to wielka szkoda – dodał cicho młody chłopak – bo mógłby wiele rzeczy daleko rozumniejszych powiedzieć od tych, co słów nie żałują. Ale on – cały w sobie. Skromniejszego w świecie nie ma... Przestrasza go każdy, co się głośno i śmiało odezwie ze zdaniem, już usuwa się natychmiast i milczy... dlategośmy go Milczkiem nazwali.

Mieszkał jeszcze na dawnej swej kwaterze; w ciągu tych kilku lat ożenił się był, a młoda żona i dzieci – jego i książki zepchnęły do jednego ciasnego pokoiku. Ubożej to jeszcze wyglądało niż kiedykolwiek... ale Damian był, choć szpakowaciał, tyle gorąco serdeczny jak dawniej. Wśród stosów książek, które literalnie od góry do dołu izdebkę wyścielały i podłogę, i ledwie na dwa z biedy krzeselka zostawiały miejsce... siedliśmy znowu gawędzić. Płacz dzieci dochodził nas z drugiego pokoju i piskliwy głos żony.

– Ożeniłem się, jak widzisz – rzekł – jestem bardzo szczęśliwy... Dzieci takie ładne i żona taka dobra, a choć bieda wielka... ale czyż to tam człowiekowi wiele potrzeba!

– No, a historia, poszła w kąt? – zapytałem.

– A! Uchowaj Boże! Cóż ty myślisz! Ideał mojego życia! Ja bym ją miał porzucić?

– Więc powinna być skończona – odezwał się – dwadzieścia lat pracujesz nad nią, spory to czasu kawał.

– Dwadzieścia lat! Ale cóż to jest wobec takiego zadania? – zawołał zapalając się Damian.

– Wieszże ty, co to jest historia epoki, taka, jaką ją ją pojmuję?... Kraj nie był przecież bez związku z życiem Europy... tętniało w jego życiu, co się odgrywało gdzie indziej; historię wszystkich państw zbadać należy, aby zrozumieć jego położenie i stosunki... Wystaw sobie... historia Niemiec, Austrii, Mołdawii i Węgier, wszystkich mocarstw sąsiednich... Potem zmiarkowałem, że to każda najmniejsza postać własna, występująca na scenę, musi być scharakteryzowana dobitnie, więc historię rodzin... biografie, wizerunki... Kto pracuje nad takim relikwiarzem z mozaiki, musi sztuczki dobierać mozolnie.

– To prawda – rzekłem – ale kiedyż temu koniec będzie?

– A, i kiedyż? – westchnął. – Koniec być musi, zbliżam się do niego... wstęp napisałem. Redagowałem go sześć razy, obfitość myśli zrobiła go za rozległym, musiałem skrócić... chociaż wydał mi się zbyt obcięty, rozciągnąłem go nieco... dodałem przypiski objaśniające. Za rok przeczytałem i postrzegłem, że do niczego. Nie było artystycznej całości, miało to postać aglomeratu², całość musi organicznie wyglądać... Historyk potrzebuje, jak poeta, chwili natchnienia, a tu mi dzieci płaczą... Wystaw sobie, w chwili gdy kreślił z zapalem tę scenę, gdy Zygmunt August przyjeżdża z Wilna, a Bona wychodzi przy trumnie męża klęknąć u nóg syna jako króla... Stefanek mi upadł i czoło sobie rozkrwawił. Rzuciłem pióro... pobiegłem go utulić, jużem potem nigdy nie mógł wątku przerwane go pochwycić. Ale to mniejsza – dodał – szczęśliwa chwila się znajdzie... tymczasem coraz nowy materiał odkrywają badacze... muszę go wcielać do mojej pracy, a tu mi często lada głupia data całe moje pojęcie i tłumaczenie wypadków obala! Snuję na nowo!

– Kochany profesorze... uwielbiam twą wytrwałość, lecz pozwól sobie powiedzieć: gdybyś nie chciał koniecznie skończyć arcydzieła, już byśmy mieli choć dzieło, tak zaś nie mamy nic.

– Poczekajcie! – przerwał Damian. – Jużciż niepodobna, abym wam dał taki surowy i niedokładny zbiorek a łataninę, jak pocziwy, zacny i kochany Gołębiowski. Ja – mówił zapalając się – ja chcę stworzyć obraz skończony epoki, nie epizod bez związku, wyrwany i niezrozumiały... chcę, by moja historia odbijała przeszłość, której jest skutkiem, przyszłość, której była nasieniem... Chcę być historykiem, nie kompilatorem³ i kronikarzem... My nie mamy dziejopisa w całym znaczeniu tego wyrazu, a ja nim być muszę...

² Aglomerat – zlepek

³ Kompilator – autor składający dzieło nie samodzielnie, ale z prac innych autorów.

– A! Mój drogi – zawołałem ściskając go – bądź nim! Ale prędzej, bo ja się nie doczekam twego Zygmunta Augusta, a bardzo mi pilno.

– No, między nami mówiąc – począł Mitczek – już teraz mi niewiele zostaje... Notaty bardzo obfite w porządku, poglądy główne spisane... małych kilka luk... a potem wezmę się do redakcji, będąc już panem przedmiotu... Parę podróży odbyć jeszcze muszę... Do Petersburga koniecznie. Rękopisów, metryk i biblioteki cesarskiej nic nie zastąpi. W metrykach są nieocenione szczegóły, trzeba je tylko umieć dobywać ze stosu słów i powodzi formuł... samą esencję.

Cały wieczór przegawędziliśmy, ale już nie w pokoiku profesora, bo pani przysłała niańkę przestrzec nas, że mówimy zbyt głośno, a dzieci obok zasnąć nie mogą. Wyszliśmy więc w starą kasztanową ulicę i włączyliśmy się po niej do północy.

Rano musiałem jechać dalej; a po kilku leciech zmieniłem pobyt i znalazłem się nad brzegami Wisły. W parę miesięcy po zagospodarowaniu się mocno mnie zdziwił jeden z kolegów wileńskich, gdy wspominając o dawnych towarzyszach nadmienił, że Milczek jest w Warszawie.

– Cóż on tu robi?

– Emeryturę dostał, a że mu tu pracować wygodniej, przeniósł się tu z rodziną.

Nazajutrz byłem już u drzwi poczciwego Damiana, którego znalazłem na odległej uliczce, w małym domku, zainstalowanego na tyłach w bardzo niepozornym mieszkaniu. Jedna izba, wydzielona przez profesorową na jego osobisty użytek, przedstawiała ten sam obraz chaotyczny, co ów pokoik w S... Na wysiedzianej sofce, w szlafroku... łysy i siwy, poczciwy Damian siedział zasłonięty foliantem, w którym – dla krótkiego wzroku – z nosem utonął. Posłyszawszy chód, nie odrywając się od czytania, spytał: „Kto tam?” Zbliżyłem się, nierychło mnie poznał, i to dopiero po głosie. Oczywiście już mu bardzo źle służyły.

– Wiesz – odezwał się – ja już dawno zbierałem się być u ciebie... to nawet na Mokotowską niedaleko, ale taki teraz jestem zajęty.

– No cóż? Zawsze Zygmunt August? – zapytałem.

– A cóż by innego być mogło? – odparł powoli – zbliżam się do końca. Ale wiesz, powiem ci, odczytując teraz, com sobie notował i ponakreślał przed laty dwudziestu, znajduję to tak gorączkowym, impetycznym, zbyt śmiałym, że, do kata na nowo materiał muszę badać, aby skontrolować te sangwiniczne⁴ pomysły... Tak się historia pisać nie powinna. Właściwie, ostygłszy teraz, dopiero się czuję usposobionym do zrobienia czegoś godnego tego imienia. Kolorytowi za wiele poświęciłem, wpadłem w anegdotyczność drobnostkową, zdawało mi się, że to lepiej wiek odmaluje, a te fraszki wielkie linie kompozycji historycznej przerywają i zasłaniają. Muszę wszystko przerabiać... Tak, tak – *ars longa, vita brevis*⁵. Jednakże, kochany mój – kończył – tej historii winienem, że mi życie przeleciało jak mgnienie oka... dzieci powyrastały, jam się zestarzał i ani się spostrzegłem.

– Ale mnie to idzie o historię – przerwałem.

– A i mnie o nic więcej nie chodzi. Mam ją całą w głowie, tu... – wskazał na pierś – czuję ją, widzę i czytam, cieszę się... i bądź co bądź, muszę to sobie przyznać: będzie opracowana sumiennie, wielostronnie. Pracując nad nią, nauczyłem się sam bardzo wiele, nieopłacone rozkosze winienem tej szczęśliwej myśli poświęcenia się tak pięknej epoce dziejowej.

– Mam tedy nadzieję – podchwyciłem – że ją wkrótce ujrzymy i pozwolisz mi, że dziś zapowiedzi ogłoszę w gazecie.

– A! Zlituj się! Tego nie rób, człowiecze, zgubiłbyś mnie! Żadnych obietnic... Czekam tylko, żeby *Tomicjany* skończył wydawać Działyński, bo i stamtąd jeszcze jakieś mi spłynie światelko, potem siadam do redakcji ostatecznej... a że mam wszystko w głowie gotowe, pionunem to pójdzie... Wiesz – dodał – te ostatnie chwile, ten zgon ten ból serca ostatniego z Ja-

⁴ Sangwiniczny – tu: porywczy, pochopny.

⁵ *Ars longa, vita brevis* (łac.) – sztuka (jest) długa, życie krótkie.

giellonów, schodzącego bezpotomnie i szukającego lekarstwa w sokołach... te Giżanki i różne niewieście profile. Ta Anna, siostra starzejąca nad herbarzem⁶ i lekarstwy dla ubogich... ta tłuszcza chciwych dworzan dokoła, ten rabunek spod trumny... co to za obrazy!... Daj to Ma-caulayowi, zobaczysz... co z tym zrobi. Ale ja – dodał zapalając się stary – ja będę tym Ma-caulayem dla Augusta...

– Kochany profesorze, aż mi ślinka do ust napływa, na Boga, nie dajże nam na to czekać...

– Ale, powiadam ci, już się biorę... niech tylko *Tomicjany* wyjdą – rzecz gotowa, nic nie braknie. Aneksa kazałem przepisywać: jest tego nie więcej jak sześćset arkuszy, bo trzeba być dokładnym i czytelnikowi postawić przed oczy dokumenta, aby mógł z nich sobie wyrobić sąd własny. W ekonomice mej historii – mówił dalej – zachodzą jeszcze małe trudności... Są wypadki, które ażeby w całości przedstawić, muszę ująć w jeden rozdział, nie pilnując ściśle chronologii, to mnie martwi... czytelnik się będzie bałamucił. Do niektórych przedmiotów wracać muszę i będę one powtarzał... A tu! Tu znowu forma! Bo przyznasz, że dzieło najznakomiciej opracowane, gdy formy nie ma, to stos kamieni tylko. Trzeba być artystą i architektem, bez tego nie, prawda?

Milczałem, on ciągnął dalej:

– Zawczasu też należy przewidzieć, co powie nasza krytyka! Jeśli zbyt literacką szatą odzieję moją historię, powiedzą, że romans stworzył, choć słowa nie zmyślę; jeśli napiszę sucho, nikt nie przeczyta. Dla jednych to będzie za mądre, dla drugich za lekkie... koniec końców, Bartoszewicz skonkluduje, że materiały nie są jeszcze dosyć przedwstępnie ociosane i że zawczas budować. Gdy pomyślę, kto trud lat trzydziestu sądzić będzie... w gazetach, w piśmie, kto go oceni, kto go przeczyta z uwagą, ręce mi opadają. Oto student, który niemieckiej akademii odkrywając datę jedne omyloną w druku, pozowie mnie o niedokładność... a felietonista z treści rozdziałów potępi plan i... jeśli pierwsza krytyka będzie choć głupia, a śmiała i ostra, dzieło przepadło; wrażenie jej zostanie. Przy tym i imię nie znane, a tu powag tyle!...

Spuścił głowę.

– Ale pomimo to... kończyć trzeba.

Po tej rozmowie w rok szedłem za trumną dawnego towarzysza na Powązki, myśląc sobie po drodze, co też z tą lat z górą trzydzięci pieszczoną historią się stało.

Trzeba było dać czcigodnej wdowie ochłonąć z żalu. W kilka więc dopiero miesięcy zapukałem do drzwi jej nieśmiało.

Zajmowała to samo mieszkanie. Pokój Milczka był zamknięty, przyjęła mnie w małym bawialnym, zagraconym i biednym; krajano dla dzieci sukienki żałobne, zacząłem od ubolewania i kondolencji.

– A! Tak – odezwała się z płaczem – pocziwy mój Damian odpoczywa, dobry, zacny był człowiek. Ale, panie, jakże on nas zostawił! Dla tej swojej nieszczęsnej historii poświęcił wszystko.

– Cóż się z nią stało?

– Książki Żydom sprzedałam – odezwała się profesorowa – bo to były rupiecie niewiele warte. Tylko tak obalamucony człowiek, jak ten biedny Damian, mógł do nich jakąś przywiązywać cenę.

– A rękopis ma? – dodałem z przestraczem.

– W czasie pogrzebu jeszcze część się spaliła – obojętnie odpowiedziała profesorowa – a że mi to śmiecie zawałało dużo miejsca, więc i resztę rzuciłam do pieca, bom już i patrzeć nie mogła na te papierzyska, dla których my padliśmy ofiarą.

Taki był koniec pracy mojego profesora. Zmówcie zań wieczne odpoczywanie! W jednym z nim grobie i Zygmunt August spoczywa.

Drezno, 15 sierpnia 1872.

⁶ Herbarz – tu: zielnik.

DAWNY PALESTRANT

W chwilach większych wstrząśnięć i zmian społecznych, które nowy charakter nadają ludziom pod ich wpływem wyrosłym, może najciekawszym widokiem są owe resztki społeczeństwa umarłego, dożywające smutnie dni swoich ostatka na świecie obcym dla siebie. Wloką się ci biedni po ziemi zastygłej, wśród ludzi, których nie rozumieją, zesmutnieni, zamknięci w sobie, nie mając przemówić do kogo, oczekując, rychłoli odezwie się im uwolnieniem dzwon ich pogrzebowy. Przykro jest spojrzeć na nich, tak ciężar życia gniecie im barki bezsilne, tak nieubłagany los odebrał im wszystko a wszystko.

Rodzina, najbliżsi, ci, których krew, los, przyjaźń i nawyknięcie związały z nimi, nie rozumiejąc ich, dziwią się im, ledwie nie tłumacza potrzebują, by mowę pojąć z innego odzyskującą się świata. Szczęśliwi jeszcze, jeśli oczyma i usty nie szyderstwo, ale litość okazują.

Mnie zawsze ściska się serce na widok tych resztek epoki zamkniętej, tych obłąkanych żołnierzy, wojska, co już przeszło do wieczności. Coraz ich, prawda, mniej jakoś się między nami spostrzega, ale za to typy ostatnie wyrazistsze są wśród otaczającego świata i na tle jego potężnie się rysują.

Zdarzyło mi się nieraz, bywając w bliskim miasteczku przed kilku laty, widzieć z rana około godziny dziewiątej przesuającą się ku kościołowi postać, która mnie wielce uderzyła. Był to starzec wysokiego wzrostu, ale zgarbiony, z siwiuteńkim włosiem, który już z białego koloru na jakiś żółtopłowy przechodził, w odzieniu dawnego kroju, tak zszarzanym, znoszonym i spłowiałym, że zdawało się ostateczną zwiastować nędzę, opierający się na wysokiej trzcinie, ze srebrną skuwką, na której do pół prawie starty był lakier i wyszlizgane użyciem białe włókna. Szedł zwykle prawie nóg nie podnosząc, posuwając tylko nimi, z głową spuszczoną, powoli, ani się nawet oglądając na mijających go i ocierających o niego.

Powoli mijał okno moje, wsuwał się w uliczkę wiodącą do kościoła i niknął mi z oczu jak widmo wywołane z drugiego świata. Wszystko w nim taką we mnie wzbudzało litość, tak mnie żywo zajmowała ta starość jego posepna, żem za pierwszą razą, ujrawszy go, zapytał kogoś o imię tego człowieka.

– To stary adwokat, Paliszewski – odpowiedziano mi ruszając ramionami.

– Ależ to biedny jakiś człowiek?

– Biedny? Nie wiem, to pewna, że nie tak ubogi, jak się wydaje.

– Dlaczegoż tak nędznie chodzi, sam jeden, pieszko, w tym wieku?

– Alboż wiem! – ruszając ramionami, po wtóre rzekł spytany. – Mało go znam, mówiono mi tylko, że skąpy bardzo.

Na tym w początku poprzestać musiałem, ale za drugą razą spytałem o pana Paliszewskiego Żyda. Nikt takiej nie ma wprawy w poznaniu ludzi jak Żydzi; może dlatego, że zależą od wszystkich, że wszystkim się kłaniać muszą, może nareszcie wrodzonym jakimś instynktem nikt tak trafnie nie zna i nie opisze ci każdego, jak Izraelita.

– Pan Paliszewski, pan mecenas! – ze śmiechem politowania rzekł mi Żyd – pan nie wie, co on za jeden? Mecenas! Ot i po wszystkim.

– Biedny widać jakiś człowiek?

– Żebym ja miał te pieniądze, co on ma i co stracił, czego bym chciał!

Właśnie przechodził stary adwokat, a jego szaraczkowa kapota, kontusz pod nią jedwabny wytarty jakiegoś niepewnego koloru, proste buty kozłowe i czapka niegdyś biała, dziś brudna jak kasztanek, co ją otaczał, tak mi się dziwnie wydały sprzeczne z wykrzyknikiem pytanego Izraelity, żem się go dopytywać począł o całe *curriculum vitae*⁷ pana Paliszewskiego i z łatwością następnych dowiedział szczegółów.

O pochodzeniu jego początkowym dokładnie nikt nie wiedział, domyślano się tylko, że musiał być szlachcic, bo w palestrze sama tylko szlachta się mieściła, a na palcu nosił sygnet z krwawnikiem i jakimś herbem, którym się pieczętował. Z maluczkiego aplikanta w owych czasach, gdy procesy rosły jak grzyby, wyskrobał się na adwokata i zaraz prawie znaczące w palestrze⁸ zajął miejsce. Dała mu je pracowitość niesłychana, namiętna, łatwość niezmierna pisania i mówienia, w ostatku przy pozorach uczciwości takie wyrabianie się z sumieniem, że jak mu kazał, tak śpiewało.

Życie jego poczęte z małego bardzo gryzipiórka, co za mecenasem papiery naszał i w kancelariach stawał u progu, a w domu nieraz i krzeselka podawał litygantom⁹, gdy na radę przyszli, małym się też zawsze obchodziło. Nie piął się ani do spraw znacznych, ani do klienteli możnej, ani w swych głosach starał się o zrobienie wielkiej sławy; a żył gdzieś daleko na przedmieściu, w ciasnej izdebce, nie wiedzieć jak i czym. Kto tam się do niego po błocie dostał, nie zobaczył w domu nic prócz papierów, tapczana, na którym sypiał, i pary butów zapaśnych. Sam sobie sługa, sam pan, co jadł i jak życie pędził, nikt nie wiedział. Z rana tylko widziano go zawsze naprzód regularnie na mszy świętej, potem z papierami pod pachą – w sądzie. Tu miejsce miał w kątku, na ustroniu, i nigdy się z niego nie wymknął. Mówił mało, zawsze tylko to, o co go zapytano, a nigdy nawet całkowicie na pytanie nie odpowiedział, zjadając, ile mógł, w sobie. Skąpy nadzwyczajnie, obcy wszelkiej przyjaźni, nie dowierzający, nigdy się w pole wyprowadzić nie dał, ale też i nikt na niego poskarżyć się nie mógł. W konieczności nawet, gdy przeciwnika szarpał, czynił to tak grzecznie, tak pilnując tytułów i szafując nimi, tak zasypując formułami uszanowania, że choć się ten wściekał, przyczepić się do niego nie mógł.

Trudno mi było z terazniejszych rysów pana Paliszewskiego wyczytać, czym był dawniej, gdyż zgrzybiała twarz trupa, chłodną, nieporuszoną przedstawiała maskę; ale mi mówiono, że wyjąwszy trochę zmarszczek zapracowanych latami, takim był zawsze. Wystawcie sobie długawą fizjonomią cery żółtobladej, z brodą spiczastą i wydatną, z czołem naciskającym głęboko wciągnięte oczy, nos prosty, suchy i kościsty, usta schowane pod wąsem, a to wszystko razem tak nieruchome, tak kamienne, że trupem pachniało za życia. Oczy nigdy nie patrzyły wprost, ale i nie bujały po bokach, zdawały się wlepić zawsze w coś niewidzialnego na prost siebie i niecierpliwiły tą obojętnością swoją. Paliszewski przecie, szczególną jakąś zapewne organizacją obdarzony, widział wszystko, choć na nic nie patrzył.

Tak nie włączając nikomu w drogę, powoli na chleb pracując, a małymi bardzo jedząc go kawałkami, sławniejszym mecenasom kłaniając się nisko, wyrobił sobie stanowisko odrębne. Wszystkie naprzód drobniejsze a zawile sprawy szły do niego, klientom swoim nie obiecywał wiele, wymagał od nich dosyć, ale nie było praktyki, żeby kogo zawiódł. U towarzyszków tym sobie zjednał, jeśli nie przyjaźń, to życzliwość, że im nigdy niczego sprzed nosa nie chwycił, owszem, najchętniej ustępował z drogi i tak szedł cichuteńko dalej a dalej. Były to czasy, w których palestra grała u nas niemal rolę, jaką dziś grają artyści. Wielcy panowie nawet ubiegali się o przyjaźń mecenasów, przyjmowali ich, poili, karmili, pochlebiali, a że to był chleb z głowy czerpany, kto należał do palestry, liczył się za literata, za uczonego, za człeka pióra i konceptu.

⁷ *Curriculum vitae* (łac.) – życiorys.

⁸ Palestra – w dawnej Polsce zgromadzenie pracowników zastępujących strony w sądach.

⁹ Litygant – prawujący się, mający sprawę sądową.

Z tych powodów był szacunek, były oklaski i honory, a że u nas to troje objawiało się najczęściej ucztowaniem i pucharami, pojono palestrę, aż ją rozpojono do ostatniego. Przy każdym trybunale musiały być piwnice, sprowadzano na kadencje węgrzyna. Tak samo było i w naszym miasteczku, gdzie żadna ważniejsza sprawa nie obeszła się bez narady przy kielichach, gdzie kielichy poprzedzały sesje i zakańczyły je, gdzie dekreta całymi oblewano beczkami. Pan Paliszewski, zaproszony, wciągnięty, dawał się poić, ale pił jak piasek, nie dając poznać po sobie, żeby to bynajmniej go ożywiało, upajało i na humor jego wpływało. Nie rozgadał się po biesiadzie więcej, nie zarumienił, nie pożartował i jakim przyszedł, takim odchodził.

Dziwili się temu wszyscy, wyśmiewali się niektórzy, ale w końcu już to nie zwracało nawet uwagi.

Położenie jednak Paliszewskiego nieznacznie zmianie ulegało. Zwróciła uwagę jego niesłychana pracowitość, wytrwałość i łatwość pracy, niechybne zwycięstwa, zręczne przedstawienie sprawy i argumentowanie, którym umiał związać sędziów, że mu się ani próbowali sprzeciwić. Poczęto go naprzód wzywać na konferencje, na których choć się mało udzielał, często tak widoczną miał wyższość zdania, że mu najslawniejsi prawnicy ustępować musieli. Nikt też nie zrównał mu w pamięci faktów, dat i najdrobniejszych szczegółów nie tylko pod okiem jego rozwiązanych, ale o jakich tylko kiedy w życiu zasłyszał. Cytował w dziesięć lat dokumenta każdego procesu, oblata¹⁰ ich, wyrażenia nawet dosłownie, a prawo i *praeiudicata*¹¹ umiał na palcach, tak że czy do konstytucji, czy do statutu, czy do korektury pruskiej udać się przyszło, do niego jak w dym, zaraz paragraf zacytował.

Nic nie hardziejąc i nie podnosząc głowy, trzymając się swej ciupki na przedmieściu, chodząc w makowej kapocie i pasie lada jakim, którego strzępki starannie zawijał, Paliszewski doszedł do tego, że się żadna już sprawa bez niego nie obeszła i – co najważniejsze – najzawikłańsze jemu były powierzane.

Milczkiem się gotował, z klientem nie mówił wiele, przed przywoływaniem sprawy nikt o niej słowa od niego nie posłyszał, ale gdy się odezwał, było czego posłuchać. Bo czy z papieru mówił, czy z pamięci, tak ułożył, co tylko było na poparcie swego, tak wyłuszczył się jasno, tak przycisnął swą logiką sędziów, że dekret opisać musieli, prawie jak im podyktował. A gdy mu wieszano potem, odpowiadał kłaniając się nisko:

– To nie ja, mości dobrodzieju, to sprawa wygrała!

Szalonym, co się do niego czepiali, że przeciw nim stając wygrał, odpowiadał po cichutku, bez wzruszenia, zawsze jednym przysłowiem;

– *Si te iudex bene iudicabit, cede iustitiae; si male, cede fortunae!*¹²

W domowym życiu nie było człowieka, co by mniej potrzebował; mieszkał zawsze w izdebce niezmiernie oddalonego dworku na drugim końcu miasta, chodził pieszo, ubierał się ubogo, a grosza tak pilnował, że się nikt pochlubić nie mógł, by mu go kiedykolwiek wyciągnął. Człowiek to był bez namiętności, młodość przeżył nie spojrzawszy na kobietę, nie rozumiejąc, co to sobie w czymkolwiek dogodzić, skąpił tylko nadzwyczajnie i, jak mówiono, taką miał żyłkę do prawa i ochotę do procesów, że gdyby mu sprawy zabrakło, gotów by sam siebie pozwać, byle mieć co robić. Ale sprawy w owe czasy dla palestry szczęśliwie nie brakowało nigdy, a były niektóre tak pomyślne, że się po lat dwadzieścia ciągnęły.

Z powodu skąpstwa miano Paliszewskiego za bogacza, bo wiedział niejeden, co gdzie wziął od kogo, a grosz – raz u niego w worku – już więcej świata nie ujrzał.

¹⁰ Oblata – tu: wniesienie aktu do właściwych ksiąg.

¹¹ *Praeiudicata* (łac.) – wyroki sądowe miarodajne dla następnych wyroków wydawanych w podobnych sprawach.

¹² *Si te iudex bene iudicabit, cede iustitiae; si male, cede fortunae* (łac.) – jeżeli sędzia słusznie orzeknie, pogódź się ze sprawiedliwością, jeśli nie – pogódź się z losem.

Zbierał tak, zbierał, a fama rosła tak, że dwa razy złodzieje nią zwabieni napadli na dom szukając tych skarbów, ale się oszukali, bo grosza nie znaleźli. Co miał, wszystko składał w niewiadomym jakimś, dobrze obranym schronieniu.

Trwało to życie bez najmniejszej zmiany lat przeszło dwadzieścia, a że starsi mecenasi pomarli, drudzy się z bogaciwszy na wieś powynosili, skończyło się na tym, że Paliszewski stanął na czele palestry, w chwili gdy jej ostatnia wybiła godzina.

Zaprowadzone zmiany, którym do końca wiary nie dawał, uderzyły go jak piorunem – zbyt stary, by się mógł uczyć, zbyt nałogowy, by inny tryb życia obrał, poszedł ostatniego dnia do sądów, posiedział milczący i choć rażony w serce, nie dawszy tego poznać po sobie, ale chwając się na nogach, do domu powrócił.

Stara gospodyni jego dworku powiadała, że przez parę tygodni po całych dniach słyszała go chodzącego szybko w izdebce ciasnej i niezrozumiałymi wykrzyknikami mówiącego do siebie. Jak drzewo wzruszone burzą, chwiał się czas jakiś niepewnie, co pocznie, potem powoli nowy tryb życia sobie wyrobił. Z rana o godzinie ósmej, latem i zimą, słońcą czy pogodą, wychodził regularnie na mszę, po której albo do jakiego księdza na chwilę wstąpił posiedzieć, lub ku dawnym sądom poszedł, pochodził w dziedzińcu i z wolna kierował się do domu.

Tu brał się do pracy, jak gdyby najpilniejsza do niej wołała go potrzeba, układał w fascykuly¹³ i spisywał papiery, które mu z dawnych spraw pozostały, robił sumariusze¹⁴, niekiedy biegł aż do starych akt dla zweryfikowania czego, rozpoczynał kwerendy¹⁵, drabował¹⁶ akta, a to w rzeczach, które nikogo nie obchodziły prócz niego. Śmiano się z niego jak z wariata, on się z szydzących nawzajem uśmiechał. Ale tą pracą do tego doszedł, że się stał żywym rejestrem wszystkich ksiąg aktowych i żadna kwestia obejść się bez niego nie mogła. On jeden wskazać mógł rok, księgę i możliwość wyszukania dokumentu, którego by kto inny, dwa lata próżno grzebiąc się, nie znalazł. Uczuwszy się potrzebnym, brał od każdego aktu, w ten sposób wskazanego, mało-wiele, jak mógł, ale darmo nic nie zrobił. I tak dalej, acz pomaleńku, zarabiał. Zjadłszy, co mu gospodyni dworku uwarzyła, przedrzemawszy się kwadrans, siadał do roboty, aż go dzwon na nieszpory budził. Szedł na nieszpór, czasem znów zajrzał ku sądom, westchnął i już na noc kroczył do domu. Tu znowu rozpatrywał się w papierach, grzebał, konfrontował, pisał i pracował czasem do północy. Największą mu łaskę zrobił, kto jaką starą od lat stu osądzoną a zawiłą napomknął sprawę. Naówczas siwe jego oczy żywiej nieco wlepiły się w jakiś punkt nieschwycony, wąż zadrgał, a nazajutrz już Paliszewski uczył się tego procesu i osądził go *de noviter repertis*¹⁷ po swojemu.

Gdzie chował pieniądze, nikt nie doszedł, ale wiedzieli wszyscy, że je mieć musiał, zaczęto mu o nie dokuczać. Od dawna widać pod sekretem na zastawy pożyczął, ale gdy się zajęcia zmniejszyło, lichwiarz powoli wyrósł z mecenasa. Zdziwiającą jednak było rzeczą, że człowiek tak przebiegły, tak zręczny, tak znający ludzi tu dawał się oszukiwać najhaniańniej. Sprzedawał, jak to pospolicie mówią, talar po trzy grosze i puścił ich dosyć tym sposobem, biorąc niewartujące nic zastawy. Opamiętał się poniewczasie, stał się ostrożniejszym, ale zawsze jeszcze zręczniejszy to pozorem bogactwa, to uczciwością chwyтали go kiedy niekiedy. Oszukany, starał się nowymi oszczędnościami nagrodzić sobie poniesione straty i podwajał skąpstwa.

Chodził też, jakeśmy go widzieli, w makowej wytartej kapocie, w kontuszu nie mającym już żadnego koloru, tak że na ulicy wziąć go było można za żebraka. Postarzał się znacznie, a mimo pobożności nigdy mu jakoś na myśl nie przyszło, że umrzeć może, że to tak ułożone

¹³ Fascykuł – plika, zwój papierów, dokumentów.

¹⁴ Sumariusz – krótki zbiór, spis, wyciąg.

¹⁵ Kwerenda – poszukiwanie, dochodzenie.

¹⁶ Drabować – przetrząsać, przerzucać, wertować.

¹⁷ *De noviter repertis* (łac.) – na podstawie nowych przesłanek

zegarkowo życie przerwać się kiedyś musi. Wprawdzie troszczyć się nie miał o kogo, bo rodziny, przynajmniej w tych stronach, nie widać było, a nikt nie mógł go się dopytać, skąd pochodził.

Od wielkiej owej zmiany, która zaszła w życiu jego, gdy zmiany w sądownictwie usunęły go od zwykłych zatrudnień, czas swój spędzał, jakżeśmy powiedzieli, nie szukając ani towarzystwa, ani ludzkiej pomocy.

Ta zimna jakaś mizantropia, ten pozór zagadkowy, postać tajemnicza i oryginalna zaciekały mnie do tyła, żem usilnie starał się go poznać i zbliżyć do niego.

Nie będę opisywał, ile mnie to dni straconych i wysiłków kosztowało – użyłem pozorów jakieś sprawy spadkowej, która dawnymi prawami rozstrzygać się miała, prosząc go o poradę. Zastałem Paliszewskiego w jego izdebce na przedmieściu, która z drugim małuczkim przedpokoikiem, tarcicami tylko od niej oddzieloną, całe jego składała mieszkanie. Izdebki były nagie, smutne, wilgotne i silnie przejęte stęchlizną. W pierwszej jakiejś sprzęty liche ledwie dojrzeć dawał zmrok, który tu panował; w drugiej trochę było jaśniej, ale równie ubogo. Jedno okienko oświecało izdbkę, stolik przysunięty do ściany, zarzucony papierami i pokryty resztką wyszarzanego zielonego sukna, łóżeczko wyleżane, jak tapczan zakonnik, wąskie i twarde, i kilka kufków w pół-otwartych, z których pliki jakieś widać było.

Paliszewski siedział na starym, trochę obłamanym krzeselku, w białym kitlu, który od częstego prania pościągął się i ledwie się dając spać, rękawy miał tylko po łokcie. Na nosie miał okulary starodawne, bez podtrzymujących ramion, mocno na nos wciśnięte, a sznurkiem obejmujące głowę; zamiast butów jakieś chodaki wydeptane. Nic go wszakże przybycie obcego nie zmieszało; popatrzył, spytał, poprosił siedzieć i wziął się do papierów. Zdziwiłem się nadzwyczajnej wprawie, z jaką – zaledwie rzuciwszy okiem na papier – intuicyjnie zgadywał, co zawierał, i wybornemu sądowi, który wydał o rzeczy. A że nie o to mi szło, ale o poznanie człowieka, począłem go wprowadzać w rozmowę. To mi się raz pierwszy całkiem nie udało; zamilkł, nałożył okulary, słuchał bardzo obojętnie, ale dawał mi uczuć, że powinienem bym poradziwszy się pójść sobie i czasu mu nie zabierać.

Dopiero spoufaliwszy się z nim, poznałem go bliżej, lepiej i mogłem czasem wyprowadzić na pogawędkę. Ale i w tym zawsze był oszczędny, a ująć go nie miałem czym, bo prócz skąpstwa i jurysterii żadnej słabości nie miał.

Użyłem fortelu niewinnego na przyciągnięcie go ku sobie. Miałem pliki ogromne jakiegoś procesu odsądzonego przed stu laty, bardzo porządnie przez starego kawalera stryjaszka ułożone chronologicznie. Dałem mu jeden fascykuł na złakomienie i wziąłem jak na wędkę. Witął mnie potem przyjeżdżającego, chciwie patrząc na ręce, czy mu dalszego ciągu tego ciekawego dzieła nie przynoszę. Tak w nim grała namiętność i pobudzona ciekawość, że, by wytargować resztę sprawy, stał się nawet grzecznym, miłym i pochlebcą. Kiedym go tak już ujął, spytałem raz nagle:

– Panie Paliszewski, na Boga, cóż cię tam obchodzić może, jak jakiś proces przed stu laty osądzono?

Paliszewski się skrzywił, nie bardzo chcąc odpowiadać, poprawił okulary.

– E! Mój jegomościuniu – rzekł – co to gadać? Państwo macie teatr, książki i ludzi, a ja co? Ot, te jedne zbutwiałe papiery, w których sobie życia szukam. I panu to dziw!

– Ależ i pan znalazłbyś także ludzi, zajęcie, towarzystwo i inny cel w życiu!

– Za późno, jegomościuniu! Za późno! Obejrzał się Holofernes, a *hołowy nema!*¹⁸ Już mnie to nie obchodzi! Odpowiem panu, że jak dobrze poprowadzoną sprawę czytam, to jakbym tam sam był, aż ręce świerzbią poklasnąć! Albo to mało się poznaje ludzi! Oj! Oj! Jegomościuniu, ani lekarz, ani kapłan nie zajrzeli tak nigdy do serca ludzkiego, jak my. Wieleż to uczciwych ludzi sumienia inaczej się nam po sekretnej konferencji wydawać musiały. Albo i

¹⁸ *Hołowy nema* (ukr.) – głowy nie ma.

sędziowie! Oj! Oj! Napatrzyło się różnych; bywało, idziemy do izby sądowej uprzedzeni, że ichmościów strona skaptowała, a myślisz jegomość, żeśmy się tego lękali? Weszli arbitrowie¹⁹ poczęły się głosy, czasem człek i przekonał, a częściej wstydu napędził i sprawę wygrał! Ba! Tak wygrał, że ten, co ją przegrywał wobec opinii publicznej, która go potępiała, cichaczem poszedł jak zmyty. No i jak ja nie mam sobie przypominać tych czasów, w których zrosłem i do których przyrosłem!

Tu stary zamilkł, choć go słuchałem z taką uwagą i w takim milczeniu, że mógł być mówić do jutra. Opamiętał się, że za wiele powiedział, zasepił się i ramionami ruszył. Po chwili przecie znowum go potrafił z tej żółwiej skorupy jego obojętności wyprowadzić.

– Ot, tak – rzekł – dziwujecie się, a ja do śmierci prawnikiem zostanę, jakem był. To darmo! Czym się skorupa za młodu napije, i na starość trąci. Nosiłem papiery chłopięciem, nauczyłem się wprzód formularza niż katechizmu, teraz, kiedy nie ma co pisać, to się w starym grzebię!

Całe też życie starca było w tych kilku słowach i niewielem ich więcej mógł na nim wyć, milczeniem mnie zbywał, nieraz widocznie niecierpliwiąc się, że mu do pracy przeszkadzał.

Jeszcze tak czas jakiś o swojej godzinie, coraz wolniej suwając nogami, chodził na ranną mszę i pod gmach sądowy, powracał do papierów, pracował do nieszpornego dzwonu i szedł spać późno w noc przy łożówce decyfrując²⁰ akta, do których, ledwie się przespawszy, powracał. Jedyłą dystrakcją stanowiły targi z wykupującymi zastawy, pożyczanie i odbieranie zastawów.

Wiedząc o jego groszu, a coraz posuwającego się ku grobowi go postrzegając, poczęli znajomi chodzić koło niego, żeby sobie spadek po nim zapewnić. Księża przypominali mu kościół i duszę jego, inni ujmowali go sobie małymi przysługami; przyjmował to obojętnie, ale gdy go naglono, odpowiadał zawsze:

– Ho! Ho! Będzie na to czasu!

I życie szło jak dawniej bez zmiany żadnej. Wzrok mu się osłabiony pracą psuł, a siły tak opuszczały, że kwadrans wprzód na mszę wychodzić musiał, nareszcie nogi puchnąć zaczęły.

Nie zmieniło to jednak trybu jego życia i tak raz z głową na stolik spuszczoną znaleziono go z rana umarłym.

Nie wiadomo, co się stało z majątkiem pozostałym, który znikł, jakby go nie było. Pochoowano go skromnie, fascykułami papierów gospodyni poczęła okna zaklejać na zimę, makowa kapota przeszła na jakiegoś szewca pijaka, trzcinę wziął jakiś krewny gospodyni, rzeźnik podobno, a szkatułki – Bóg jeden wie kto; a gdy jednego poranku stojący przed kramami Żydzi nie zobaczyli go ciągnącego o zwykłej godzinie ku kościołowi, pokiwali tylko głowami, domyśliwszy się, że już żyć nie musiał.

Ruszyli ramionami i to był jedyny po Paliszewskim nekrolog.

1877

¹⁹ Arbiter – w dawnych sądach sędzia polubowny.

²⁰ Decyfrować – tu: odczytywać z trudnością.

RADCA MACIEK

– Ludzie – mawiał jeden ze starych moich, którym się przysłuchiwałem w młodości – ludzie są jak jabłka. Na te same jabłoni, proszę się przypatrzeć, wisi jedno zwrócone ku słońcu, drugie w cieniu, trzecie pokryte liśćmi, czwarte ściśnięte – a każde ci inaczej dojrzeje i smakować będą różnie.

To, któremu słońce przyświecało zawczasu, jedno z dwojga: albo się rozwinie ślicznie, zarumieni cudnie i słodczy nabierze, lub zeschnie przedwcześnie – dojrzałe i zarobaczone. W cieniu rośnie czasem na to, aby kwaśne było długo, ale gdy dojrzeje – i trwa, i smakuje. Słowem, każdy owoc nawet ma swą dolę, a ta sama gałąź daje i najpiękniejsze, i najniezdziej-
sze.

Toż samo z ludźmi się dzieje.

Lat temu dwadzieścia i kilka poznałem w Warszawie pana Macieja, naówczas rzeczywistego radcę stanu, powszechnie szanowanego urzędnika.

Był to mężczyzna, którego wiek trudno się dawał odgadnąć. Widać było po nim, że żył długo i wiele przeżyć musiał, ale się tym raczej zahartował, niż zmęczył. Słusznego wzrostu, silny, blondyn i mało co posiwiwały, cery żółtawej, oczu szarych – przy swych latach miał jeszcze ruchy młodzieńcze, a gdy za rękę ścisnął zapomniawszy się, niejeden z bólu syknął. Dłoń miał potężną, jakby pracą namulaną i wyrobioną.

Nigdy go nie widział smutnym ani kwaśnym; twarz nosił zawsze pogodną, uśmiechniętą i napiętnowaną męstwem takim, jakby się niczego nie obawiał. Nie znosił szczególnie młodzieży męskiej tchórzliwej i bez energii.

Do przymiotów tego człowieka, w którym wszystko znamionowało autodydakta²¹ (z czym się nie tał), należało to, że go, starego już, wszystko żywo obchodziło... Nowe odkrycie, nowa książka, każda rzecz, w której było życie, zajmowała go, pociągała. Nie opuścił żadnego odczytu, nie uspokoił się, aż to, o czym mówiono wiele, bliżej poznał i zbadał.

Bezdzietny wdowiec, swobodny, niemający, ale też nie cierpiący niedostatku, służbą swą niewiele zajęty, pan Maciej wiódł życie, które z dala przynajmniej musiało się wielu wydawać szczęśliwym.

Nie widziałem go nigdy ani znudzonym, ani nieświadomym, co ma począć z czasem. Spieszył się, rachował z godzinami – dni miał wypełnione, wyobraźnię zawsze czymś zajętą, w kieszeni jakąś książkę, przed sobą jakieś oczekiwanie.

W rozmowie najczęściej starał się jej nadać nastrój żartobliwy, ale złośliwym nie był, owszem, czuł w nim każdy łagodnego i gotowego na usługi człowieka.

Jakieś się poznajomili i zbliżyli, trudno mi dziś to wytłumaczyć; przyszło to samo z siebie, z wolna, gdy każde spotkanie więcej nas spoufalalo.

W końcu staliśmy się przyjaciółmi, wzajemnie sobie zwierając, widując chętnie, coraz częściej; stosunek nasz nabrał tego charakteru, jaki częstokroć tylko długie lata nadają.

²¹ Autodydakkt – samouk.

Pan radca Maciej mówił dużo i chętnie, ja słuchać lubię; a ze swego życia miał zawsze tyle epizodów do opowiadania, iż nigdy mu na nich nie zbywało. Wspominał chętnie dawniejsze czasy. Z tych jednak urywanych epizodów o jego własnej przeszłości trudno było powziąć jakieś wyobrażenie. Dowodziły one tylko, iż się ocierał o wielu bardzo ludzi, przebywał w sferach różnych i wędrował dużo po bożym świecie.

O sobie mówił nawiasowo, nie zwierzając się z tego, co osobiście go dotykało.

Raz jednak wieczorem u mnie, gdy się mała gromadka gości rozeszła i pozostaliśmy we trzech tylko – z panem Stanisławem, z którym radca był tak spoufalcony jak ze mną – ożywił się więcej niż zwykle.

Wyszedł był właśnie pewien jegomość, o którym wiedzieliśmy, że się własną siłą dobił w świecie znakomitego położenia. Ta krescytywa²² była ze wszech miar zagadkową, gdyż nasz dorobkiewicz nie miał nadzwyczajnych przymiotów – nauki mało, zdolności mierne, charakter niemły i szorstki. Odznaczało go jedno – to upór rzeczywiście zdumiewający; szedł zawsze i wszędzie przebojem, mówił głośno, nie ustępował nikomu.

Gdyśmy o tym raz prawili, co w praktycznym życiu najważniejszym jest, aby człowiekowi znośny byt zapewnić – radca się odezwał machając ręką:

– Wierzcie mi, silna wola i zimna krew to są najlepsze i najskuteczniejsze narzędzia. Rozumie się, że szczęścia też potrzeba i okoliczności, jeśli nie pomyślnych, to przynajmniej nie gwałt zadających i niszczących wszystko. Uporem idzie się daleko – miękkih los i ludzie bez miłosierdzia gniołają.

Nikt mu nie zaprzeczył. Pan radca Maciej pałac cygaro, wsparty na kolanie, zapatrzył się w ogień na kominku.

Milczeliśmy wszyscy.

Długo był jakby sam w sobie i wspomnieniach swych zatopiony.

– Najlepszą ilustracją tego, com rzekł – dodał po chwili – byłaby moja własna historia.

Szepnąłem nieśmiało:

– Jeżeli ona sama się na usta napiera, dłaczegóż by jej nie powiedzieć nam gwoli zbudowaniu?

– Dlatego się jej boję rozpocząć – odparł śmiejąc się pan radca Maciej – że siebie znam, gdy z tego kłębuszka nic rozwinę, nie skończę jednego wieczora...

Westchnął.

– Myśmy i trzy, i cztery słuchać gotowi – dodał Stanisław.

Radca się zamyślił.

– Z tymi wspomnieniami – dodał żywo – gra niebezpieczna. Ruszywszy je, niepodobna pyłu i kurzawy nie podnieść, a te nie są zdrowe...

Nikt z nas już mu gwałtu zadawać nie myślał – milczeliśmy. Pan Maciej nie patrzył na nas, ale w kominek, i począł mówić dziwnie – jak gdyby sam do siebie i dla siebie.

– Najstarsze moje wspomnienia sięgają tego czasu, gdym był nie panem Mateuszem ani panem Maciejem, ale najprościejszym w świecie Maćkiem... Ojciec mój miał kawałek ziemi w osadzie szlacheckiej, w której było nas tylko dwie rodziny rozrodzono tak, iż z tego urosła wioska cała, przy szabelce chodzących za pługiem ludzi rycerskiego stanu. Połowa była Wieniawitów, połowa Rawiczów... Wcisnęło się dwóch czy trzech Dołęgów, jeden Pobóg... ale tych w gromadzie naszej ani znać, ni czuć nie było.

Ojciec, o ile wiem, przypominam sobie i słyszałem o nim, niepowodzeniami przybity, oprócz tego ze krwi już niecierpliwy, gorączka, w końcu życia potrafił się tak ze wszystkimi poróżnić, iż nikogo w osadzie, nawet z najbliższych krewnych, przyjaznym sobie nie miał. Żył zupełnie odosobniony, ubożając coraz, wyrzekając na los swój, odgrażając się niebu, a co krok zapadając głębiej.

²² Krescytywa – wzrost mienia, znaczenia; kariera.

Siedział w długach po uszy, miał w sądzie spraw kilka, z sąsiadami na miedzach spotkać się nie mógł, ażeby do kłótni, łajania i odgrózek nie przychodziło.

Z Żydem arendarzem, który mniej więcej wszystkich głaskał i z nikim się nierad był zadzierać, także od dawna się skłócił; proboszcz go strofował, łagodził, więc od niego uciekał. Dosyć powiedzieć, że z rodzonym bratem Joachimem od piętnastu lat szli na noże.

Pamiętam, jak za mgłą widząc, ostatnie lata życia ojca mego. W domu niedostatek był graniczący istotnie z nędzą. Ojciec, wyrostek sierota najęty, łobuz, złodziej, szkodnik i zuchwalec, stara baba pijaczka i ja – sierota – mieściliśmy się w walącym się domku, którego dach zaciekał, ściany w ziemię zapadały, gdzie często nie było z czego ognia rozpalić i co przy nim ugotować.

Żyliśmy na wiosnę zieleniną, kartoflami, drobiem, którego mało co było, kaszą stęchłą, czasem bez soli, słoniną starą, której skąpiono...

Nie zawsze był chleb, a nigdy do syta...

Ojciec, już złamany, często musiał leżeć, nie mogąc się podnieść, bo w kościach go łamało, a ręce miał pokurczone i nabrzękle.

Jeśli nie jęczał, to kłócić się musiał...

Żywa dusza do nas nie zajrzała nigdy, nie pomógł nikt.

W polu o jednym koniu i jednej chudej krowie niewiele zrobić było można. Orano licho, siano pośladem, gnoju też nie mieliśmy, aby zjałowiałe zagony zasilić.

Często kawał dobry zostawał nie orany, nie zasiany, bo ani czasu, ni sił na to nie stało.

Na mnie naówczas nikt nie zwracał uwagi; włóczyłem się samopas, rzadko mogąc do innych dzieci przystąpić, bo nienawiść ku ojcu spadała też na mnie. Pijaczka gospodyni biła, popychała, parobczak prześladował.

Ojciec zdawał się nie chcieć patrzeć na mnie, aby nie myśleć, co mnie czeka, i serca sobie nie krwawić.

Zawczasu też nauczyłem się sam myśleć o sobie... a gdym był głodny, pojęcie cudzej własności zupełnie się zacierało...

Szczęściem, przeznaczając mnie na tak zwany twardy los, natura dała zdrowie i siły, jakich najrozpieszczeńszym dzieciom braknie. Mogłem wytrzymać głód, chłód, pragnienie, znużenie największe, a wygod nie potrzebowałem żadnych.

Zostawiony sam sobie – tę walkę o byt poczułem ledwie spiąwszy się na nogi i w niej się zahartowałem.

W osadzie znano mnie naówczas z tego, że byłem zuchwałym szkodnikiem, i gdzie mnie zobaczył kto, wnet wołał i pędzał, bo się domyślał, że bez przyczyny się nie podkradł.

Pędzano i szczuto... nie wiedząc nawet za co...

Ostatnie dni ojca przypominam też sobie.

Z łóżka już nie wstawał, w nocy chrząszczało mu w piersiach okropnie, a kaszel straszny go dusił... kłął i rzucał się – wołał gospodyni – dawano mu wody, przegotowanej ze skórką od chleba; na ostatek słabnąć począł i senność go objęła gorączkowa.

Było to latem... W chacie panował zaduch i skwar nie do wytrzymania, choć okienko było wyjęte. Leżałem na moim barłogu, spać nie mogąc, bom był też głodny. Dopiero gdy się na, dzień brało, snem kamiennym zasnąłem.

Zbudziłem się, gdy mnie ktoś nogą kopnął, i zląkłem mocno, bo izba, zwykle pusta, pełna była ludzi. Hałas w niej panował, a głosy podniesione, krzykliwe, około łoża ojcowskiego napaść jakąś zdawały mi się oznaczać.

Porwałem się na nogi i padłem, bo ludzie, którzy się cisnęli, nie zważając na mnie, nie dawali ruszyć z miejsca.

Co się stało, zrozumieć nie mogłem.

Ojciec leżał niedaleko ode mnie, na nisko wysłanej pościeli, żółty, siny, nieruchomy, z ustami i oczyma otwartymi, z piersią obnażoną.

Brat Joachim, jego żona, kilku sąsiadów, parobcy, wyrostki cisnęli się zaglądając, swarząc, kłócąc. Coraz to ktoś nowy zaglądał przeze drzwi i starał się tu wcisnąć.

Gospodyni z fartuchem na oczach, u pieca stojąc, płakała...

O śmierci naówczas słyszałem już wiele, ale nigdy z bliska nie widział umarłego, dlatego nie od razu zrozumiałem, iż ojciec nie żył. Gdy o tym wreszcie posłyszałem, nie rozplakałem się. Ogarnął mnie jakiś strach, zdziwienie, ciekawość, ale żalu nie czułem. Nieboszczyk, choć kochał mnie pewnie, obchodził się ostro i pędzał jak inni. Rzadko bardzo pogłaskał po głowie. Nie lubił patrzeć na mnie, bo widok ten mu serce krwawił.

Gromada ludzi dokoła tych zwłok, o które się nikt nie troszczył, nikt ich nie tknął, stała gwarząc, śmiejąc się nawet z cicha, popychając. Wchodzili, wychodzili, aż w progu się pokazał z krzyżykiem i księżką w ręku proboszcz, ksiądz Słotwina, w wytartej, starej sutannie.

Na widok jego uciszeli się ludzie, rozpierzchiwać i rozstępować zaczęli.

Surowym wzrokiem powiódł po tym tłumie niesfornym, który dobrze znał księdza Słotwinę bali się go wszyscy, ruchem ręki wnet zrobił porządek.

Kląkł się modlić i wszyscy go w cichości naśladowali.

Wstał potem, szukając kogoś oczyma. Brata Joachima już tu nie było. Zapytał gospodyni o szczegóły śmierci, ale ta wiedziała tylko, że z rana znalazła ojca już nieżywym.

Postrzegł potem mnie leżącego na ziemi i smutnie poruszył głową, obejrzał się po chacie, namyślał, co ma począć.

Mówić tu nie było z kim.

Wyszedł wołając, aby mu pana Joachima ściągnięto, a ja, korzystając z tego, iż miejsce zrobiono, wymknąłem się za nim na podwórze.

Stryj szedł już, bez czapki, bez kapoty, ręce w tył założywszy, i zimno, ale z poszanowaniem powitał proboszcza.

– Co myślicie? – zapytał proboszcz.

Joachim brodę potarł.

– A mnie co do tego! – odparł. – Alboż on mi bratem był za życia? Niech go sobie, kto chce, grzebie i myśli o tym, ja palcem nie ruszę...

– Przecież to wam należy z prawa i opieki nad dziećmi! – dodał ksiądz.

Aż się wstrząsnął pan Joachim.

– Znać ni wiedzieć nie chcę – rzekł stanowczo. – Grunt i dom sprzedadzą, bo na nich więcej długu, niż ten chłopiec wart. Chłopiec łotr, ja mam swoje dzieci, a chleba nie do zbytku... Niech dobrodziej czyni, co chce – dokończył – ja ani dam, ani zrobię nic... Stał on mi za życia ot, tu (pokazał na gardło), niech na sądzie bożym odpowiada!

Skłonił się pan Joachim i odszedł...

Proboszcz mówił potem z innymi, radził, zwoływał – szło oporem.

Nie słyszałem już nic, tyłkom widział, że do południa nikt się niczego nie tknął.

Wyrostek zabrawszy, co miał i co mógł schwycić, zniknął zaraz, baba wiązała węzłki.

O mnie nie pomyślał nikt.

Chata stała otworem, a ciało nieruszone. Dopiero wieczorem ksiądz proboszcz przysłał zakrystiana; dwóch starszych z bractwa weszło do izby i pomyślano o trumnie, którą z opiłków starych zbił cieśla...

Nie wiem, co tego dnia jadłem, ale mi się zdaje, że suchego chleba kawałek znalazł i jaja zepsute, które wypilem... Bałem się iść do chaty, więc na noc pod szopką na garści słomy spałem razem ze starym psem, który mi pod bokiem się umieścił i odpędzić się nie dawał, a nocą się ciągle zrywał, naszczekiwał i wył...

Tak mnie ranek zastał i deszcz z burzą zmusił pod dachem szukać schronienia. Głód czułem okrutny, a sposobu zaspokojenia go nie mogłem znaleźć.

Nie płakałem jednak, alem zły był...

Musiałem po sąsiednich ogrodach polować, czy czego nie znajdę. Przekradającego się tak już opodal od chaty złapała dziewczyna od sąsiada i na pierwsze jej odezwanie się, przestraszony, chciałem uciekać, ale mnie za kołnierz chwyciła.

Nie znałem jej dotąd, ledwie kiedy widując z daleka.

Była silna i dorosła, więc się jej z rąk wyrzeć nie mogłem. Nie poznała i ona mnie, aż nierzycie domyśliła się, że być musiał sierotą po nieboszczyku.

Spytła mnie, czym jadł; powiedziałem jej płacząc, bo dopiero teraz na łzy mi się zebrało, że prawie nic w gębie nie miał, bo w domu nie było nikogo. Padłem tam zaraz pod płotem na ziemię, obawiając się, aby mnie nie biła.

Dziewczyna patrzyła na mnie długo; nie powiedziała nic i dała znak, abym za nią szedł. Ciężko się było ruszyć spod płota, a iść nie myślałem, aby było po co, więc zostałem na ziemi, gdzie byłem, niemal ogłupiawszy z głodu i zmęczenia.

Spuściłem oczy i dłużyłem trawę...

Chwila upłynęła, gdy dwie bosa nogi zobaczyłem przed sobą – podniosłem głowę i spostrzegłem dziewczynę też samą, która mi kromkę chleba z kawałkiem sera podawała, sama, nie czekając podziękowania, uciekła.

Jakem jadł ze zwierzęcą chciwością – musiało się dobrze wbić w pamięć, gdy po dziś dzień rozkosz tę jeszcze mam przytomną.

Wróciłem potem przez płoty pod naszą szopę, gdzie wody się napiwszy przy studni, zasnąłem znowu.

Gdy się obudziłem, w uszach dźwięczał mi śpiew... podniosłem głowę, przecierając oczy, i zobaczyłem księdza w komży stojącego w podwórzu, a dwóch ludzi żółtą trumnę dźwigających we drzwiach naszego dworku... Organista śpiewał coś.

W dziedzińcu nie było nikogo, oprócz kościelnej służby i księdza; ludzie ciekawi stali poza płotami z daleka, poza chatami, nikt za trumną ojcowską iść nie chciał, nawet stryj Joachim.

Takiego pogrzebu, jak później mówiono, nikt w naszej osadzie nie pamiętał.

Prawda, że ojciec sobie nieprzyjaciół wielu zrobił, ale też nikt mu w godzinę zgonu nie przebaczył.

Nie lepsi więc byli od niego.

Widząc, że trumnę wyniesiono, coś mnie tknęło, że ja powinienem być za nią pójść. Przypomniałem sobie, iż na pogrzebie idąc widywałem dzieci, ale spojrzawszy na siebie, że byłem bosy, odarty, nie myty i nie czesany, zawstydzilem się tak pokazać...

Byłbym pod szopą został, gdyby mi zakrystian nie dał znaku nakazującego, abym się stał bliżej. Sam mnie wzięwszy za ramiona, ręce mi złożył jak do pacierza i kazał iść tuż za trumną. Byłem posłuszny. Szedłem z suchymi oczyma, nie mogąc płakać. Z dala ludzie, krewni nasi, za płotami i przy domach stojący, pokazywali na mnie palcami.

Zakrystian coś śpiewał czasami na przemian z księdzem, to znowu szli milczący i tak ciągnęliśmy do cmentarza, a w kościółku w dzwon żałobny bito przez cały czas.

Nie pamiętam już innych szczegółów pogrzebu. Zakrystian kilka razy to mnie popychał, to odpychał... Ziemia się zaczęła sypać na trumnę.

Wszystko to krótko trwało.

Leżałem skurczony na mogile, obok grobu ojca, gdy mnie człek jakiś za barki wziął, wskazał na wrota i kazał iść precz. Na cmentarzu nie było już nikogo. Bezwiednie prawie powlokłem się do naszej chaty. W ulicy, która niedawno pełna była ludzi w zagrodach stojących i przypatrujących się pogrzebowi, teraz pusto było, mroczno i czerwone światła błyszczały po oknach. W podwórzu stary pies mnie przywitał... nie było żywej duszy. Podszedłszy znalazłem drzwi domu zamknięte, drzazgi zaparte i zapieczętowane; okno było deską z wewnątrz założone.

W pobliżu nikogo...

Z obojętnością psią, razem z moim towarzyszem psem, skierowałem się pod szopę. Nie byłem głodny, a o jutrze nie umiałem myśleć... Jedno mi się ciągle przypominało: co ja jeść będę? I skąd co dostać potrafię?

W tych marzeniach, Sam nie wiem jak, zasnąłem.

W nocy przez sen słyszałem parę razy naszczekiwanie psa, ale dopiero słońce poranne ze snu twardego mnie przebudziło. Kobieta otyła, czerwona, z głową ogromną chustą, jak dziś pamiętam, żółto-czerwoną zawiązaną, z policzkami świecącymi, stała nade mną.

Była to żona zakrystiana Fabisza, Marcicha.

Widywałem ją dawniej z daleka.

Nic nie mówiąc, z palcem tłustym przyłożonym do ust, stała długo nieruchoma nade mną, jakby chciała zagadkę jakąś odgadnąć.

Parę razy jej w oczy spojrzałem – pies siedzący przy mnie poszedł ją obwąchać dokoła, powrócił, ziewnął i siadł obok mnie.

Zakrystianicha odchrząknęła.

– Chodź ze mną! – rzekła krótko, jakby miała prawo rozkazywania.

Zdawało mi się teraz, gdy ojca nie stało, że każdy, kto chciał, mógł mi rozkazywać; wstałem natychmiast i powlokłem się za nią.

Pies, ostrożniejszy, odprowadził mnie do wrót i tu pozostał na starych swych śmieciach.

Moja przewodniczka potoczyła się z wolna ulicą i weszła do zagrody stryja Joachima.

Zmiarkowawszy, że mnie może do niego prowadzić, od którego brał nieraz ciężki i boksy, byłem między przestąpił, znając jego nienawiść ku ojcu, zatrzymałem się u wrót. Marcicha obejrzała się parę razy i stanęła w podwórku, u drzwi, wołając stryja Joachima.

Wyszedł powoli z krótką fajeczką, której nigdy z ust nie wypuszczał.

– Cóż wy, o synowcu waszym, Maćku, nie myślicie? Chłopca znalazłam pod szopką... Chata zaparta, żywej duszy, toć z głodu zdechnie.

Stryj z wolna odjął fajkę od ust, splunął daleko, ze świstem jakimś rzucając ślinę, i rzekł sucho:

– A to niech sobie zdycha.

– I myślicie, że Pan Bóg się nie upomni za sierotę? – poczęła Marcicha – toć to wasza krew !

Joachim patrzył w inną stronę i pykał...

Zaczął coś potem jakby nucić pod nosem...

– Któż się nim opiekować będzie? – spytała litościwa kobieta.

– A mnie co do tego? Za życia my się z bratem nie znali, po śmierci ja o dziecku wiedzieć nie chcę. Chatę już zapieczętowano... Sprzedadzą ją i nie starczy na długi. Ja mam moje dzieci...

Wydrapałem się był, gdy to mówił, głową ponad plot; zobaczył mnie i zaraz się odwrócił.

– Choćby mi nakazano z urzędu – dodał – ja chłopca nie wezmę! – zawołał gniewnie. – Przepadnie lichu, niewielka szkoda!

I wszedł na powrót do chaty, drzwi za sobą zamykając, aby się nawet Marcicha nie spodziewała po nim przedłużenia rozmowy.

Gdy wyszła z podwórza Fabiszowa, trochę się zawahała, co zrobić, spojrzała na mnie. Stałem pod płotem, czekając rozkazów i gryząc w ustach kawałek kory odartej od kołka.

Pokiwało głową poczciwe kobiecisko.

– Chodź tymczasem ze mną!

Szedłem znowu posłuszny.

Na pół drogi do probostwa, przy którym w osobnym domostwie zakrystian Fabisz mieszkał, stała karczma.

Znałem ją dobrze, bom nieraz tam ojca musiał szukać...

Bogaty Hersz w niej gospodarował, z panami szlachtą, od których trzymał karczmę,

umiejąc sobie dawać rady tak, że on tu ważniejszą grał rolę niż każdy z nich. Człowiek był przebiegły, wymowny, nadzwyczaj – jak dziś zowią, bo dawniej tego wyrażenia nie znano – praktyczny.

Zakrystianicę przyjął zdejmując jarmułkę i prowadząc do wielkiej szynkowni z wielką uprzejmością. Ja się za próg nie ważyłem, stanąłem przy uszaku od drzwi, które były otworem.

Marcicha i on gwarzyli bardzo żywo, widocznie radziła się go i narzekała na coś, rękami szeroko rozkładając i poruszając na poparcie słów.

Gdy doszli do szynkwasu, Marcicha, parę obwarzanków wzięwszy, przyniosła mi je do drzwi, za co aż w rękę ją pocałowałem, bo mi się do nich oczy śmiały.

Marcicha kazała sobie podać kieliszek czegoś czerwonego, wypić, tupnęła nogą, coś na ucho szepnęła arendarzowi, alem tylko słyszał: „Jak Boga Kocham!” Uderzyła się w piersi i powróciwszy do progu mrugnęła, abym za nią szedł.

Obwarzanki, o które się obawiałem, aby mi ich kto nie odebrał, skonsumowałem tak żywo, że gdyśmy doszli do probostwa, śladu ich nie było.

Fabiszowie mieścili się w chacie – bo inaczej tego nazwać było trudno – stojącej w dziedzińcu probostwa, obrosłej dokoła olchami. Bardzo w miejscu je tu posadzono, bo gałęzmi gęstymi osłaniały budynek, w takim stanie opuszczenia będący, tak nędzny, iż się go wstydzicie trzeba było.

Wprawdzie i probostwo niewiele lepiej wyglądało – ale przynajmniej je raz w roku na wielkanocne święta bielono.

Fabisz był człowiek niemłody, między swoimi uchodzący za rozumnego, a nawet uczonego. Faktem było, iż niekiedy brał książkę i siadłszy na ławce, czytał z uwagą wielką.

Człek był spokojny, a przypadek w młodości jeszcze uczynił go kulawym, co się też do uspokojenia przyczyniło. Małego wzrostu, czarnego włosa, bystrych oczu, powolnego słowa; gdy się odezwał, wyważywszy, co powiedzieć miał, i poparł to podnosząc wskazujący palec do góry – nielatwo go było już zbić z tropu i przekonanie zmienić.

Uczciwy, regularny, chodził jak zegarek – ksiądz mógł mu skarbonki i wszystko powierzyć, więc szanował go i w czym mógł, dopomagał.

Marcicha Fabiszowa była kobietą żywą, gadatliwą, chętnie się w nie swoje rzeczy mieszając, ale dobrego serca. Lubiała czasem kieliszek wódki, na co mąż się krzywił.

Dziecko mieli jedno, Julusie, chude, blade, nędzne, pieszczone i z nóżkami pokrzywionymi.

Aż do progu domostwa szedłem za jejmością, tu mi się kazała zatrzymać. Nie było nikogo w podwórku, ogromny kot czarny siedział na przyzbie łapę lizał i nią się cesał, co zwróciło zaraz całą moją uwagę...

Wydał mi się strasznym.

Zza drzwi otwartych posłyszałem rozmowę Fabiszowej z mężem. Zaczęła od opowiadania o tych niepoczciwych ludziach, co przez zemstę sierocie dawali z głodu umrzeć. Mowa była o mnie i o stryju Joachimie.

Fabisz ostrożnie wypytywał.

– On się tu za mną przywłókł – dodała Marcicha. – Słuchaj, Fabisz, jesteśmy nadto ubodzy sami, abyśmy go mieli brać, zresztą, Bóg go wie, co za natura, jeśli się w ojca wdał! – ale tymczasem łyżkę strawy... jak Boga Kocham. Posłuży, wody przyniesie... A nie może być, aby się kto z rodziny nie zlitował, aby ich sumienie nie ruszyło...

Fabisz coś mrucał tak cicho, że nie mógł dosłyszeć, potem ona głośniejszym głosem:

– Ja bo nie powiadam, żebyśmy mieli się nim obciążać na wieki... ale, jak Boga Kocham, ty w kościele, mnie trzeba wyjść, baba, co przychodzi, nie zawsze jest, Julusi samej zostawić strach... czasem by jej dopilnował, czasem gołębi i kur, co nam kradną.

Fabisz odezwał się:

– Ale to w tym wieku żre, ty nie wiesz jak... klusek i chleba temu nie wystarczy. Ja wiem! To, to!

Znowu ciszej mówili, ale przeczuwał, że się zgodzą. Wyszła Fabiszowa – bo przy niej tu zawsze była prawda – wzięła mnie za rękę, przyprowadziła do męża siedzącego przy oknie i kazała go pocałować w nastawione palce...

– A teraz, ino żywo – rzekła – idź mi wody przynieś, rozumiesz. Wiadro tu stoi. Naprzód je popłuczesz... Potrafisz wody dostać?

– Czemu nie? – odparłem szukając wiadra.

Wśród izby na podłodze, na kawałku starego, podartego i pokapanego woskiem kilimka siedziała w jednej koszulinie mała, chuda Julusia. O małym z pośpiechu jej nie potrafił.

Dziecko za mną ciekawymi wodziło oczyma.

Zaraz też, w godzinę może potem, jużem ją na rękach miał i nosił... od czego się służba moja poczęła.

Dokończywszy tej pierwszej części opowiadania radca westchnął i zwrócił się ku nam.

– Mógłbym się ja wówczas spodziewać – odezwał się smutnie – że z takiej nędzy, opustoszenia i sieroctwa kiedykolwiek się potrafię wydostać?

Opatrzności bożej pewnie winienem wiele, ale i własnej sile też trochę.

Zrozpaczone położenie daje męstwo wielkie. Nie miałem naówczas lat dziesięciu, nie umiałem nic; jakim sposobem zbudziła się we mnie siła i chęć wydobywania z tej nędzy, tego nie potrafię wytłumaczyć. Patrzyłem z ciekawością nadzwyczajną na wszystko, co mnie otaczało, i w głupiej mojej głowie starałem się wyciągnąć pewne wnioski dla własnego użytku.

Zakrystian czytywał – był on dla mnie pierwszym wzorem i ideałem człowieka... Zapra-
gnąłem umieć czytać jak on. Nie pamiętam, jak doszedłem do posiadania elementarza, a liter
mnie nauczył Fabisz.

Czytałem chciwie, ale nie rozumiałem nic...

Między językiem książki i jej myślami a pospolitą mową nie było dla mnie żadnego jeszcze związku.

Niezrozumiałe zupełnie rzeczy stopniowo mi się objawiały. Padała na nie jakaś jasność nagle i poczyniałem po trosze pojmować ich znaczenie.

Nie rozumiejąc też ani jednego słowa ministrantury, nauczyłem się służyć do mszy świętej, a gdy doszedłem do tej perfekcji, iż przed proboszczem mogłem mszał nieść do ołtarza, zająłem niejako urzędowe stanowisko w zakrystii.

Wy ręczałem Fabisza, który z powagą mógł we drzwiach zakrystii przypatrywać się i do-
glądać świec, aby nie topniały.

Słyszałem proboszcza, który raz odezwał się do zakrystiana:

– Ale to szkoda tego chłopaka, żeby się tak zmarnował.

Tymczasem ja z rana nosiłem wodę, później Julusią na rękach, niekiedy mszał, i wodę znowu... zdawało mi się, że w przyszłości miejsce zakrystiana zając będę zdolnym, co za szczyt najwyższy i cel ostateczny zabiegów poczytywałem.

Gdy się to działo, sprzedano za długi zagon ojcowski; kupił go stryj Joachim. Miał wówczas dzieci kilkoro... Ponieważ ojcowiznę moją nabył tanio, proboszcz podobno kołatał do jego sumienia, aby coś dla mnie przeznaczył, ale się zaklął z furją wielką:

– Ani złamanego szeląga!

Na tym się skończyło. Jakby w istocie mściwa ręka boża dosięgła później nielitościwego człowieka: zmarł mu syneczek jeden najulubiwszy, w pół roku na ospą dwoje; z pozostałych, syna i córki, w kilka miesięcy gardlana choroba zabrała pierwszego... Jedno dziecko pozostało mu tylko...

Naówczas grzebiąc małego proboszcz rzekł mu do serca:

– Widzisz, panie Joachimie, nie miałaś litości nad sierotą, teraz Bóg nad tobą jej nie ma.

Trafiło mu to potem do serca, bo przyszedł na probostwo w kilka dni i ofiarował się wziąć

mnie do siebie. Nie wiedziałem, o co chodziło, gdy mnie na probostwo zawołano, ale tu zobaczywszy stryja – o małym zaraz nie pierzchnął. Ledwie mnie proboszcz siłą za rękę wciągnął do izby.

Rozplakawszy się odmówiłem stanowczo pójść do stryja; pamiętałem, jak był okrutny i jak ojca prześladował.

Padłem księdzu do nóg, nie było sposobu skłonić mnie – dano spokój.

Zostałem więc przy Fabiszu.

Na początku drugiego roku, za dziećmi płacząc nieustannie, umarła żona Joachimowi – poszła za nią córeczka. Stary opuścił gospodarstwo i na cmentarzu siedząc płakał po całych dniach. Potem pić zaczął i napitego, śpiącego musiano z mogiły do domu odnosić.

Dopiero wszyscy w osadzie za księdzem powtarzać zaczęli, że to jest Boży palec za sierotę.

We dwa lata, gdy ja się w zakrystii, coraz większe zdobywając zaufanie, krzątałem jak w domu, wyręczając doskonale Fabisza, wiedząc, na jaki dzień który ornat i kapę gotować, kiedy obrusy na ołtarzu zmienić, utrzymując ampulki w pożądanym stanie czystości, zbierając воск, dając sobie rady z gaszeniem i zapalaniem świec, lampy przed ołtarzem itp., stryj Joachim nieszczęśliwego żywota dokonał...

Ponieważ po nim nie pozostał nikt, jam był najbliższym i jedynym spadkobiercą. Mogłem się od tej chwili uważać za jednego z dostatniejszych w naszej osadzie. Naznaczono mi opiekunów, a raczej sami się oni teraz znaleźli... Proboszcz z tytułu tego, że w zakrystii posługiwał, także w opiece głos pozyskał.

Pamiętam, jak mnie przyprowadzono przed moich panów opiekunów, dwunastoletniego wyrostka.

Z moich krewnych jedni głosowali, że bym przy kim ze starszych począł się wdrażać do gospodarstwa, drudzy byli za tym, aby mnie dać do bakałarza...

Wtem proboszcz skinął na mnie.

– A ty, Maćku? Czego byś sobie życzył?

W dwunastym poczynającym się roku miałem już dosyć otwartą głowę, aby nie lękając się szkoły odpowiedzieć otwarcie:

– Ja, proszę ojca dobrodzieja, chcę się uczyć!

Ten mój mniemany dostatek, który tak cudownie spadł na mnie, na miarę naszej biedy mógł się chyba nim nazwać.

Rozumie się, że ksiądz, pocałowawszy mnie w głowę, głosował za mną i przy tej zręczności stojącym u drzwi opiekunom powiedział kazanie.

– Widzicie, że ten smarkacz ma więcej rozumu niż wy wszyscy... Nie byłoby tych waśni, zajadłości, niepokojów i tej nędzy między wami, gdybyście się czegokolwiek uczyli i cokolwiek umieli. Ale u waszmościów tak: jeszcze się was nie wysypał, parobczak nic nie umiając zeni się, dzieciska go obsiada – iż pokolenia w pokolenie coraz większa ciemnota i nędza... Zobaczycie, że z tego błazna człowiek będzie.

Gdy mnie do Białej do szkoły odwieziono, okazało się, że dochody z całych posiadłości śp. stryja Joachima ledwie starczą na utrzymanie ubogie i korepetycje. Być może, iż dzierżawca i opiekunowie korzystali z sierocego mienia, tego tam nie wiem, ale to pamiętam, że życie musiałem opędzać najskromniejszym utrzymaniem się zaspokajając.

Dawano za mnie ordynarię jejmości, u której byłem na stancji, która pochodziła także z naszej osady, gotowymi pieniędzmi bardzo mało. Oporządzenie moje było więcej niż skromne: surducina z sukna grubego, później i łatany na łokciach, z butami wiekuisty kłopot, bo ledwie jedne podzelowano, już drugim opadały podeszwy.

Mnie to wcale nie obchodziło...

Wszedłem do szkoły z dobrej woli i z najmocniejszym postanowieniem teraz już nie na zakrystiana się sposobić, ale na księdza.

Rozumiałem to, że wszystko zależało od nauki... Słyszałem po raz pierwszy tę sentencję z ust Fabisza i ona w umyśle moim utkwiała na wieki, że im kto więcej umie, tym wyżej stanąć może. Poprzysiągłem więc sobie, iż uczyć się i uczyć będę aż do... wyczerpania tej studni nauk, a byłem tak, z pozwoleniem, głupi, że sobie wyobrażałem naukę jako rzecz ograniczoną, zamkniętą. Chciałem naturalnie, wedle systemu Fabisza, doścignąć jak najwyżej...

Poprzysiągłem sobie przed ołtarzem, iż wszystko poświęcę dla nauki...

Żelazna wola i upór dziecka zrodziły się z tego postanowienia. Roilem, że nauką dojdę do najwyższych szczytów i że dosyć ją będzie osiąść, aby się dopomnieć o to, co jej należało.

Z głową do góry i ogromną pewnością siebie kroczyłem dalej. Nie szło mi jednak ja po maśle.

Nie upłynął rok, gdy w odsyłaniu ordynari i wypłacie tego, co na utrzymanie moje było nieodzownym, zaszły trudności... ani ordynarii, ani pieniędzy nie było. Przez kogoś trzeciego proboszcz mi dał znać, iż potrzebował widzieć się ze mną.

Z Białej do Tucznej drogi kawał. Na piechotę trudno się było samemu ważyć, a okazji do miejsca nie mogłem znaleźć. Tymczasem gospodyni nie opłacona patrzyła krzywym okiem i wyrzucała mi to, że karmiła na kredyt. Zniecierpliwiony musiałem szukać sposobu dostania się na miejsce, przysiadając z Żydami, którzy od wsi do wsi mnie przewozili za małą opłatą. Nierychło dostałem się do naszej osady i zaraz po drodze wysiadłem u wrót plebani!. Poszedłem naprzód do Fabiszów, którzy mnie poznawszy niezmiernie byli radzi, lecz z pierwszych ich głosów dowiedziałem się, że około mojego dziedzictwa było krucho i że coś zaszło dla mnie bardzo niepomyślnego.

Pobiegłem na plebanię.

Ksiądz zobaczywszy mnie brewiarz złożył, z którego się modlił.

Pytał naprzód, jakem się tu dostał. Potem zawahał się trochę, nim przystąpił do tego, co mi miał zwiastować.

– Żal mi cię, Maćku – rzekł – ale cośmy się cieszyli, żeś po nieboszczyku Joachimie miał dziedziczyć i jam się spodziewał z ciebie tu mieć człowieka, co by drugich pokrzywionych prostował, a podobno... wszystkie te nadzieje pójdą marnie. Zjawił się jakiś zapomniany trzeci brat ojca twego i Joachima, poszło na prawo wszystko i jak mnie się widzi, tobie się z tego nic nie dostanie! Już teraz – dodał proboszcz – na twojej schedzie sekwestr, adwokaci gospodarują: nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje...

Milczałem słuchając.

– Cóż ty myślisz? – zapytał ksiądz czule i troskliwie. – Nie wrócić by ci do zakrystii?

Jam się zadumał, ale odwaga mnie nie odeszła.

– A cóż? – rzekłem wzdychając – w szkołach już się nasłuchałem tego, jak sobie ubodzy radę dają, popróbuję i ja. Są tacy, co majątniejszym buty czyszczą za kawałek chleba i schronienie przy nich, i jam gotów, a uczyć się muszę... Ale może to być, aby mnie ojcowiznę odebrano? – spytałem.

– Wszystko może być – odpowiedział ksiądz – bo nieprawość i chciwość ludzka jest większą i silniejszą niż miłość chrześcijańska i bojaźń boska. Ja tu praw twoich bronić będę, ale co ja mogę? Jeżeli ci się co okroi, a ocale, dam znać, ale mało na to rachuj, a niech ci Bóg błogosławi, dawaj sobie rady, nie oglądając się na nikogo.

Pocieszał mnie, jak mógł, starowina, lecz widać było, że sam niewiele ufał, aby mógł co uratować.

Poszedłem przenocować do Fabiszów, gdzieśmy do późna przesiedzieli gwarząc. Naza jutrz próbowałem dowiedzieć się o mojej schedzie, ale tylko tyle zrozumiał, że teraz do niej przystąpić nawet nie było mi wolno. Pretensje wydziedziczonego przez lat tyle brata, koszta różne – miały mi wszystko odebrać.

Fabisz także mnie chciał do zakrystii zwerbować, ale mnie do szkoły ciągnęło coś; po dwóch dniach rozsłuchów daremnych, nie dostawszy ani grosza, ani nadziei, abym co mógł mieć stąd, poszedłem na powrót do szkoły.

Przez całą drogę myślałem, co pocznę, alem męstwa i ducha nie stracił.

– Choćby o zebranych chlebie – mówiłem sobie – uczyć się będę.

Ponieważ trochę moich rzeczy u gospodyni zostało, musiałem do miasteczka powróciwszy zajść do niej. Odgadła z twarzy, że z próżnymi rękoma powracał, ale nie bardzo się pogriewała za to na mnie. Rozumiała, że w tym winy mojej nie było. Pozwoliła, aby do czasu węzełek mój u niej pozostawał, gotową była nawet czasem łyżką stawy pożywić, ale darmo na stancję wziąć nie mogła...

Jam też o to żalu do niej nie miał, bo sama uboga była.

Drugiego dnia jużem po mieście sznurkował²³ czy się gdzie nie wsrubuję.

Właśnie przybył do szkół nowy profesor matematyki, którego zwano Rzymskim. Nikt go tu nie znał. Stary kawaler, sam jeden jak palec, ubogi, rozglądał się tak po mieście, jak ja, za służbą.

Narajono mi go, że chłopca potrzebował; poszedłem do niego.

Człowieka takiego jeszcze w życiu nie widział.

Wyprostowany, jakby drewniany, suchy, chudy, żółty, ruchy miał machiny, zawsze jednokowe. Oczy ogromne siedziały mu na wierzchu głowy, nic nie mówiąc, usta też nie więcej lubiły się rozgadywać. Zamiast mówienia krzywił twarzą dziwacznie, mrugał, brwi ściągał, usta wydymał i zacinał, chrząkał i często słowa nie dopowiadając, ręką tylko coś wskazał, na tym kończąc.

Zdawał się zawsze jakby osłupiały, zamyślony głęboko i nieprzytomny, goszcząc gdzieś na innym świecie duchem. Obracał się, chodził tak, że kto go raz widział, pewnym być mógł, że za drugim razem zobaczy go znów słowo w słowo poruszającym się tak samo, bez najmniejszej zmiany.

Żadna lalka, nakrecona sprężyną, nie mogła być sztywniejszą a bardziej milczącą...

Ale gdy stanął przy tablicy, zawinawszy rękawy, wziął kredkę w palce długie i począł wyklądać, słowa mu z ust płynęły bez namysłu, bez przerwy, bez zająknięcia, tak samo machinalnie, jasno, wyraźnie, łatwo i wówczas wstępował w niego jakiś duch... ożywił się...

Kredkę i gąbkę położywszy, stawał się na powrót milczącą zadumaną lalką.

Od ludzi stronił i nie potrzebował ich... W domu, powróciwszy z lekcji, chodził, fajkę palił, jadł o danej godzinie, co mu podano, regulował się ściśle wedle zegarka i był też machiną.

Gdym przyszedł mu się rekomendować, obejrzał mnie, skrzywił się, nos ściągnął, jakby mi chciał kichnąć w oczy, obszedł raz i drugi dokoła i w dwóch słowach kazał się wprowadzić, a w niewiele więcej wyłożył mi moje obowiązki.

Oprócz mnie była przyjęta stara kucharka.

Musiałem czyścić buty i odzienie, zamiatać, posługiwać. Usługa ciężką nie była, tylko musiała stosować się do godzin, bo gdym się spóźnił z czym, słowa nie mówiąc, za ucho mnie brał, prowadził do zegara, pokazywał godzinę i groził.

U niego się nauczył, jaka była wartość czasu. Zresztą człowiek był równie dobry jak dziwaczny i równie zimny jak regularny.

Nagładał na moje zatrudnienia i na mnie, ale się zbyt drobnostkowo nie mieszał w to, com poczynał. Mijało czasem dni trzy, cztery, a literalnie ani jednego słowa z ust jego nie słyszałem. Drudzy nie byli szczęśliwsi. W korytarzach spotykając się z kolegami profesorami stawał czasem na momencik w ich kółku i słuchał, ale nigdy się nie odzywał z niczym. Postawszy, posłuchawszy kłaniał się dokoła i szybkim krokiem odchodził. Kto by myślał – do pilnej roboty? Po to tylko, aby wielkimi krokami z fajką po pokoju swoim spacerować. Gdy był w

²³ Sznurkować – śledzić, węszyć, myszkować, penetrować.

bardzo dobrym humorze, widywałem go tak sam na sam, podnoszącego wysoko nogi, przypatrującego się własnym ruchom, stąpającego to szybciej, to powolniej i uśmiechającego się do siebie.

Jawnym było, że w obcowaniu z samym sobą miał największą i jedyną przyjemność.

Przy tablicy też był w swoim żywiole. Mówił, jakby recytował rzecz wyuczoną, ale żaden zarzut i trudność nigdy go nie mieszały, był panem tego, co wykładał.

Dziwak ten zakrawał na monomana. Wszyscy koledzy wyśmiewali się z niego, ale jako nauczycielowi nic mu zarzucić nie było można. W życiu domowym odznaczało go skąpstwo nadzwyczajne. Grosz dać było dla niego męczarnią, a oszczędzić rozkoszą najwyższą. Nie czynił jednak żadnych wysiłków, aby zdobyć pieniądze.

W tych terminach, gdy u nas są we zwyczaju kolędy, podarki itp., profesor Rzymski wpadał w niepokój widoczny. I gospodynię, i mnie starał się zbyć – *in natura*²⁴ jakimś podarkiem, aby grosza nie dobyć.

Nie wiem dobrze, co się dostawało gospodyni, która na spiżarni i kuchni się mściła za jego skąpstwo, a ja dostawałem stare buty, po dziesięć razy obejrzone, lub jeszcze starszą – odzież jakąś.

On sam dla siebie równie był skąpy. Cośmy jadali, Bogu tylko wiadomo, kucharka karmiła nas tym, co było najgorsze i najtańsze.

Profesor zdawał się tego ani widzieć, ani czuć... To, co ja często, młody i głodny – psom oddawać musiałem, on spożywał cierpliwie, nie czując różnicy najlepszego od najobrzydliwszego. Miałem tu swobody dosyć i nauka mi szła z łatwością, o niej tylko myślałem...

Dwa lata bez najmniejszej zmiany upłynęło na usługach Rzymskiego, jeszcze rok mi pozostał tylko do skończenia szkoły wydziałowej. Mogłem mieć wygodniejsze miejsce korepetytora, ale wolałem zostać przy Rzymskim, bo tu dla siebie miał więcej czasu.

Co się tyczy mojej ojcowizny, stało się z nią, co przepowiedział proboszcz: znikła i roztopiła się w rękach prawników i spadkobiercy. Zostało dla mnie wszystkiego trzysta złotych, które proboszcz siłą prawie wyrwał i zachował u siebie, nie chcąc mi ich dać, aż póki bym do szkół wojewódzkich nie przeszedł.

Upragniony ten dla mnie moment zbliżył się nareszcie. Ksiądz wcale się nie sprzeciwiał temu, abym naukę kontynuował, ale przepowiadał mi, że będę miał wiele trudności do zwalczania. Dał mi półtora złota na drogę i z tymi dostałem się do najbliższego Lublina.

Świadectwa miałem tak dobre, że mi o korepetycje nie było trudno...

Historia tych lat, gdym szkolne nauki aż do *maturitatis*²⁵ kończył, nie ma w sobie nic osobliwego. Uczyłem się dobrze i nabierałem zarozumiałości ogromnej.

Najpewniejszy byłem, że – raz dobiwszy się do ostatniej klasy – albo wnet znajdę świetne pomieszczenie, lub marzyłem już o uniwersytecie...

Co obrać sobie? Żadna nauka mi się nie uśmiechała zalotniej od innych... Wszystkie równie były pojętne i nie wiem, co mnie skłoniło do wybrania wydziału prawnego...

Zdaje mi się, że już wówczas marzyłem o karierze urzędowej.

W uniwersytecie siedziałem jak mól nad książkami. Wszystkie egzamina zdawałem szczęśliwie, zdania miałem najlepsze...

Zazdrościli mi drudzy.

Stałem trochę odosobniony i milczący jak mój Rzymski.

Stopień pozyskałem *cum eximia laude*²⁶. Suknie miałem wytarte, koszule grube i stare, buty nie zawsze całe, ale głowę zadzierałem do góry, pewny tego, że dokończywszy tak wydziału, pomieszczę się świetnie i z jak największą łatwością.

²⁴ *In natura* (łac.) – w naturze.

²⁵ *Maturitatis* (łac.) – świadectwo dojrzałości, świadectwo ukończenia gimnazjum.

²⁶ *Cum eximia laude* (łac.) – z najwyższą pochwałą, z odznaczeniem.

Nie miałem przyjaciół, o tych więc nadziejach przyszłości nie było komu mówić i nikt mnie nie rozczarowywał. Dwóchset złotych nie miałem całego majątku, gdy pozyskałszy stopień, co mi się zdawał najwyższym szczeblem... ostatnim celem, odetchnąłem, pewien, że dziś lub jutro ubiegać się o mnie będą.

Szło o wybór zajęcia.

Podąłem się do służby, do której mnie stopień i nauka kwalifikowały. Prośba i papiery zostały przyjęte i po nich nastąpiło głuche milczenie.

Trwało ono trzy miesiące. Poszedłem się przypomnieć.

Nikt nie wiedział, gdzie była moja prośba, gdzie papiery, i po długim szukaniu, chodzeniu, znaleziono je nietkniętymi.

Po drugich trzech miesiącach, chociaż mi się udało znaleźć tanie lekcje jakieś, zagrażał już wprost głód.

Dróg, którymi trzeba było się przedzierać, aby dostać pomieszczenie, nie znałem. Nikt mnie nie popierał.

W kancelariach słuchano mnie ziewając albo nawet i słuchać nie chciano.

Po upływie pół roku, jak dziś pamiętam, trafiłem do biura, w którym prośbę i papiery złożyłem, w popołudniowej godzinie. Stoliki, pulpity i izby były puste.

Jeden jedyny stary urzędnik, z twarzą czerwoną i opryszczoną, z nosem nabrzękłym, w wicemundurze²⁷ wytartym, chodził zażywając tabakę po kancelarii. Zobaczywszy mnie po raz... może dwudziesty, począł mi się w oczy śmiać.

– A wiesz! – zawołał – że jesteś pan do pokazywania za biletami? Co waćpan sobie myślisz, że to tak łatwo choćby diurnisty²⁸ miejsce pozyskać, dlatego że masz kwalifikacje? A gdzie plecy? Kto się tu o waćpana troszczy? Urzędników – nas jest więcej, niż potrzeba. Myślisz, że cię puszczą, dlatego żeś zdatny, ażebyś drugim tym łatwiej chleb odbierał? Toś mi naiwny! Czy z księżycy spadłeś? He?

Stałem nie mówiąc słowa, a on śmiał się coraz serdeczniej.

– Przedziwny pan jesteś! – mówił. – Możesz tu poswiecić stojąc tak na jednej nodze...

– Cóż mam począć? – spytałem.

– Albo ja wiem? Znajdź plecy! Kłaniaj się, stań się potrzebnym! Śmieszna pretensja dlatego chcieć posady, że się na nią zasłużyło!

– Ja na początek nie wymagam wiele – rzekłem pokorniejac.

– Ale waćpanu nie dadzą nic a nic! – odparł napiły. – Próbuj waćpan zapisać się gdzieś do teatru...

Odszedłem mocno zgryziony.

Dopiero później pocieszałem się tym, że to, com słyszał, wyszło z ust pijanego i nie miało sensu. Tymczasem jednak sprawdzało się, co przepowiedział.

Miałem wówczas stancję na Podwalu, w poddaszu, wyczerpywały się ostatki, lekcji nawet trudno było znaleźć.

Myślicie, że mi to odebrało ducha? Jako żywo! Obliczywszy kasę, znalazłem w niej dwadzieścia złotych.

Garderoba była w stanie redukcji, buty na nogach schadzałem ostatnie, używając ich tak ostrożnie, iż powróciwszy do domu, natychmiast z nóg zrzuciłem.

Ale na ulicy głowa była do góry! A co w sercu się działo, o tym ja tylko wiedziałem i Bóg.

Do nielicznych moich znajomych z uniwersytetu i kolegów prawnego wydziału należał Wrzesiński, syn urzędnika, głowa nieosobliwa, nauki niewiele, ale w salonie uchodzący za pełnego nadziei młodzieńca.

²⁷ Wicemundur – mundur urzędniczy niegalowy, na co dzień.

²⁸ Diurnista – pisarz biurowy, płatny dziennie.

Byliśmy z nim wcale nieźle, bo mu nieraz pomagałem. Spotygam go w ulicy z ogromną pliką papierów pod pachą, śpieszącego do kancelarii, bo on już posadę uzyskał, mając ojca na urzędzie.

Spostrzegłszy mnie stanął i przywitał się.

– Prawdziwe to szczęście, że pana Mateusza spotygam – rzekł. – Mam nawał roboty i nie mogę jej podolać, a oto właśnie mi dziś narzucono napisanie memoriału... Nie mógłbyś mi pomóc?

Rzuciłem okiem na zadanie. Zmiarkowałem, dlaczego się z nim zwracał do mnie: było nadzwyczaj zawiłane i trudne, wymagało erudycji, której nie miał. Uśmiechnąłem się.

– Czasu mam do zbytku – rzekłem – ale, z najżywszą chęcią pomożenia koledze, ja na chleb, którego nie zapewniłem sobie dotąd, pracować muszę.

– Ja najchętniej będę... bonifikował²⁹ – zająknął się Wrzesiński.

– Tak – rzekłem – ale nadto jesteś delikatnym, abyś miał sobie cudzą pracę przywłaszczać. Zarumienił się mocno kolega. Mnie szło wielce o to, abym – choćby ofiarą pracy – zdobył tym czasem bonifikacją.

Wziąłem z rąk jego papiery i dodałem:

– Potrzebuję zarobku, dopóki nie pozyska miejsca, więc zgoda. Wyręczę cię, ale...

– Zapłacę, co postanowisz – żywo wtrącił Wrzesiński. – Kiedy to może być gotowe?

Potrzeba było dobrze fałdów przysiedzieć, aby dać rady zadaniu, ale ja nie miałem nic do czynienia. Obiecałem zrobić prędko i, jak się spodziewałem, dobrze...

Przedmiot mi nie był obcy. Potrzebowałem do niego świeższego materiału z biblioteki. Notatki moje starczyły do dawniejszych sprawozdań. W dziesięć dni już przepisywałem na czysto ów memoriał. Kolega zapłacił go, jak chciałem, i zabrał... Miałem znowu na kilka tygodni zapewnione liche utrzymanie.

Jak się wówczas żywiło? Tak, jak tylko młodość i nadzieja mogą się przeżywać.

Kawa w rozmaitych porach dnia lub to, co się w lichych kawiarniach nazywa tym imieniem, była rzeczywistą podstawą. Bułka ją dopełniała. W lichej restauracyjce podejrzany bulion, często cuchnący kożuchem, lada jaki kawałek mięsa zastępował obiad. Po obiedzie szły znowu kawy i bułka.

W tym programie jednostajnym bardzo rzadko zachodziły warianty. Nie pozwalałem sobie, a nie byłem też do wygódek nawykłym.

Jaki był los mojego memoriału, o tym się dowiedziałem nierychło. Wrzesiński go przepisał, naturalnie, przedstawił i został awansem wynagrodzony.

Ruszyło go sumienie.

Postarał się dla mnie o umieszczenie, ale w hierarchii gryzipiórków było ono tak skromnym, że dla człowieka ze stopniem uniwersyteckim stawało się śmiesznym. Cóż miałem począć? Przyjąłem je z ironią w duszy... i zasiadłem do kopiowania niedorzeczności, które czasem śmiech we mnie wzbudzały nonsensami, jakie w sobie zawierały.

Stało się, iż raz, gdym tak przepisywał coś, a potem przez pół dnia nic do czynienia nie miałem, żem siedząc za stolikiem opatrzył jakoby komentarzem nieustającym ów niedorzeczny dokument. Co tam na marginesach popisałem, wiedział Pan Bóg; nie miałem litości, szderstwo było zjadliwe.

Przez nieuwagę ową makulaturę zostawiłem na stole.

Jakkolwiek podrzędne zajmowałem miejsce, i tego mi zazdrozczono. Ktoś z tych, co do mnie urazę mieli, iż zasiadłem na twardym stołku, na który on spodziewał się dostać, napałtrzył mój komentarz i poniósł się z nim do starszyczny.

Oburzenie i zgorzenie wybuchnęły z gwałtownością niezmierną. Nie dano mi się tłumaczyć, nie spytano nawet, straciłem liche owo miejsce...

²⁹ Bonifikować – wynagradzać.

Ale z rąk do rąk przechodzący papier inkryminowany³⁰ zwrócił na mnie uwagę. Znalazł się ktoś, co uznając mnie niebezpiecznym, zarazem przyznał i to, że mogłem być użytecznym bardzo.

Gdym się najmniej spodziewał, dano mi posadę lichą, małą, w innej dykasterii³¹.

Tu jeden ze zwierzchników mnie potrzebował... tak samo, jak Wrzesiński.

Zrażony, zniechęcony, tymczasowo gotów byłem dać się wyzyskać, byle nareszcie zdobyć jakieś miejsce i zrobić sobie początek.

Nie byłoby mi to dopomogło, niestety, gdyby...

Tu radca śmiać się począł

– Posłuchajcie – dodał. – Ulicą szły dwie panie, jedna niemłoda, nieładna, otyła, bardzo strojna... druga obok niej, do niej podobna, młoda, ułomna, smutnej twarzy i zbiedzona swą powierzchownością; za nimi z językiem wystającym włókł się faworyt piesek, niepomiernie wypasiony, z trudnością na krótkich nóżkach niosący brzuszynę, która się prawie wlokła po ziemi.

Na zawrocie ulicy – panie przechodzą ją szybko, psiak nie mogący podążyć za nimi wpada... tuż, tuż pod koła pędzącej dorożki. Przez litość nad psiakiem porywam go spod kół niemal na ręce i ratuję...

Krzyk się daje słyszeć. Widzę starszą panią załamującą ręce. Obie przypadają do mnie z wyrazami najwyższej wdzięczności.

Okazuje się, że ocalił faworyta pani prezydentowej, która nie wiedząc, jak mi odwdziżyć, po zarekomendowaniu się moim zaprosiła mnie na herbatę.

Piesek pani prezydentowej był moim jedynym protektorem, jemu winienem, że na szczeblu drabiny hierarchicznej mógł postawić nogę.

Wieczorem nie było nikogo na zaproszonej herbatce oprócz pani, jej córki, ocalonego pieska i mnie. Dopiero gdy odchodzić miał, zjawił się sam pan prezydent. Rodzina cała składała się, jak się tu dowiedziałem, z tych pań tylko... Bardzo niepiękna panna Wanda, nieco ułomna, z wyrazem twarzy łagodnym i cierpiącym, była jedynaczką.

Z początku małomówna, później ośmieliła się i w kółku tym spędziłem wieczór dość przyjemnie. Sama pani matka zręcznie rozpytała mnie o wszystko, co się tyczyło mojej osoby.

Nigdy nie umiał kłamać ani się przechwalać, a mam i miałem zwyczaj żartobliwie swoją biedą potrząsać; tak samo też, nie kryjąc się wcale z tym, kto zacz byłem, naiwnie i po prostu opowiedziałem pani prezydentowej moje sieroce dzieje.

Słuchano mnie ze współczuciem.

Nie tailem nic, ani nawet, że się spodziewał pracą i wytrwałością mój zły los zwyciężyć. Gdy pod koniec wieczoru nadszedł prezydent, człek poważny, zimny na pozór i znudzony, przedstawiono mnie jemu i przyjęty zostałem dosyć łaskawie. Przy pożegnaniu zaproszono wreszcie, abym czasem odwiedzał państwa M...

Przez kilka tygodni wszakże nie poszedłem tam i byłaby się może znajomość rozchwiała, gdybym znowu na ulicy nie spotkał pani z panną i nie został powtórnie zaproszonym.

Przyjęto mnie jak dawnego znajomego, a pies uratowany przeze mnie znalazł się tak przyzwyczajony, iż sam przyszedł do mnie z powitaniem. Prezydentówna też była bardzo grzeczna.

I znowu pod schyłek wieczoru przybył gospodarz domu, tym razem w rozmowie informując się starannie, jakim sposobem o miejsce etatowe zabiegałem, do kogo prośbę podałem itp.

W parę tygodni niespodzianie otrzymałem odpowiedź na moją przestarzałą petycję, iż na posadę w kancelarii pana prezydenta byłem naznaczony. Poszedłem dziękować naturalnie panu i pani, nie wąpiąc na chwilę, komu to zawdzięczać miałem.

³⁰ Inkryminować – obwiniać, oskarżać, czynić zarzuty.

³¹ Dykasteria – władze rządowe, sądowe, administracyjne.

Na początek miejsce owo było nadzwyczaj skromne, ale i roboty niewiele przy nim. Prezydent więc, aby wypróbować siły moje, dawał mi zadania do opracowania wyjątkowe. Wywiązywałem się z nich, starając okazać, co umiałem.

Pierwszym skutkiem tego było, że sobie nieprzyjaciół i zazdrosnych siłą pozyskał. Wiedziano jednak, że bywałem u prezydenta, że miałem jego protekcję, i obawiano się. Niewiele mi szkodzić kto mógł, ale psot płatano dosyć, ażeby życie zatruć.

Szczęściem, nie przylegało to do mnie; wesołą twarzą, umysłem spokojnym znosiłem wszystko. Tymczasem coraz ściślej się zawiązywały stosunki pomiędzy mną a niepiękną i ułomną prezydentówną. Byłem naówczas młodym i przystojnym mężczyzną – ludzie z pewnością posądzały mnie, że zbliżam się do panny dla krescytywy i protekcji.

Mogę poprzysiąc, że tak nie było.

Biedna panienka zyskała moje współczucie dobrocią, uprzejmością i tym, że ją widział opuszczoną i nieszczęśliwą. Przywiązałem się do niej nie w widokach ambicji, ale z potrzeby serdecznej.

Z pierwszego szczebla, gdy dałem dowody pracowitości i zdolności, postąpiłem wprędce na wyższy. Nadzieja teraz już mnie podtrzymywała i siłę dodawała.

Matka panny dała mi do zrozumienia, że choć ubogi i na teraz nie mający środków utrzymania rodziny, o córkę starać się mogłem.

Ojciec nie bardzo był rad z tego, ale się nie przeciwiał. Nastąpiły zaręczyny.

Pensja moja wówczas nie wynosiła więcej niż parę tysięcy złotych – musiałem czekać. Ojciec obiecywał popchnąć mnie wyżej, jak tylko by się wakans³² trafił – ale tego nie było.

Gdy się to działo, nagle jednego wieczoru przybywszy do prezydentostwa znalazłem cały dom rozstrojony. Prezydent leżał paraliżem tknięty. Sprowadzono doktorów, zostałem na posługach, czuwałem dni kilka przy chorym, który zmarł, mogę powiedzieć, na moich rękach.

Z nim razem wszystkie nadzieje moje poszły do grobu, pozostała tylko niepiękna narzeczona, dane jej słowo, a ze spadku po ojcu nic, oprócz pensji wdowiej, bardzo szczupłej.

Wszyscy, począwszy od panny – sądzili, że się cofnę – ale tej nikczemności, dzięki Bogu, nie popełniłem. Oświadczyłem, że słowa dotrzymam, jak tylko się dobiję możliwości wyżywienia rodziny.

Nie odebrano mi miejsca – i być może, iż postępowanie moje z prezydentówną zjednało mi u zwierzchności szacunek.

Lat trzy ciężkiej pracy ubiegło, nim się mogłem ożenić. Położenie wcale było nieświatne, żona bez posagu, ale miałem z niej towarzyszkę tak dobrą, przywiązaną, pracowitą i rozumną, że gdy ją po kilku latach utraciłem, nie chciałem już po raz drugi stawić na loterię małżeńską.

Żonie winienem, że w ciężkim zawodzie urzędnika mogłem wytrwać nie schodząc z prostej drogi – nie zrozpaczywszy o sobie, nie trwając się trudnościami, jakie spotykałem na tej drodze – żonie winienem, że się nie splamiłem przedajnością.

Męstwem i pogodnym umysłem pokonywałem nieustanne trudności, jakie miałem do zwalczania.

Radca zapatrzył się w ogień kończąc swe opowiadanie, westchnął – i już więcej z niego dobyć nie mogliśmy.

1884

³² Wakans – nieobsadzony urząd.

DOWMUND

(Karta z życia artysty)

Nazywał się Dowmund, imię było piękne, ale on tak biedaczysko wyglądał, że nie przystawało do niego.

Niewielkiego wzrostu, niezręcznej postaci, długiej, bladej twarzy, z oczyma dużymi, niebieskimi, małomówny, bojaźliwy, niezgrabny, jąkał się, gdy mówił, wchodząc nie wiedział, na którą nogę miał stąpnąć, słowem, obudzał zarazem litość i współczucie.

Strój jego w najwyższym stopniu zaniedbany, nieoczyszczony, pomięty, ręce podrapane i zbrukane, włosy w nieładzie, obuwiu zabłocone – na pierwszy rzut oka czyniły go podobnym do kogoś przychodzącego za jałmużną.

Pomimo to, wpatrzywszy się w jego czoło, chwytając czasem spojrzenia, można było odgadnąć coś pod tą skorupą ukrytego: ducha i myśl cielesnym przywalone brzemieniem.

Jak się dostał do Drezna – było tajemnicą z której się nie spowiadał. Zapytany, plątał się bełkotał, ręką machał, zagadywał i tłumaczyć się nie chciał. Okrucieństwem badać go było.

Drezno niegdyś słynęło ze swej Akademii Sztuk Pięknych, ale się od dawna przeżyło; Monachium, Düsseldorf, Berlin o wiele je prześcignęły. Dziś już tu nad Elbą ani takich profesorów, jak Schnorr, ani wzorów (modeli), ani pracowni, ani na ostatek tego natłoku cudzoziemców, których sztuki pociągają, nie znaleźć. Akademia istnieje resztką życia, zapożyczoną z przeszłości. Szczególną uwagę zwracają w niej na dzieci kraju, obcym się trudno do czegoś docisnąć, a jako współzawodnicy wcale nie są pożądanymi.

Z wielkimi nadziejami przybywszy, Dowmund znalazł się wkrótce bez grosza, bez znajomych, stosunków, bez sposobu utrzymania i dalszego kształcenia.

Było nas wówczas więcej niż dziś Polaków w Dreźnie, ale o Dowmundzie nikt nie wiedział.

Jakimś dziwnym wypadkiem poznał się z nim mój przyjaciel X naówczas już, kiedy Dowmund, w lichej izdebce nędznej gospody na przedmieściu, zadłużony, marł niemal z głodu.

Faktem było, że nie jadł nic nad chleb suchy, a resztę zastępowała, niestety, wódka... Gdy był głodny, przekąsiwszy chlebem biedak upijał się, kładł na łóżko i zasypiał gorączkowo.

We dnie miał jeszcze siłę malować. W izdebce na strychu, w której światła było mało, i to niegodziwego, stały na sztaludze i po kątach pozaczynane obrazki...

Kilka kopij z galerii, do których zrobienia trudno mu się było docisnąć, wykonane dla chleba, sprzedane za bezcen, nie dawały mu umrzeć.

Gdyśmy się o nim dowiedzieli i starali przyjść w pomoc, Dowmund był już na zdrowiu, na umyśle, na energii wyczerpanym i złamanym.

Trochę nadziei wstąpiło w niego, lecz nie sztuka, którą kochał i dla której poświęcił siebie, zajmowała go, ale potrzeba utrzymania bytu... Gotów był malować co bądź, aby żyć, a potem? Życie znów oddać dla sztuki

Mówić o niej, jak o innych przedmiotach, nie umiał wcale. Gdy w galerii obraz go jaki uderzył, zajął, stawał przed nim, stał godzinami, patrzył, potniał, ręce załamywał, ale zapytany nie potrafił zdać sprawy z wrażenia.

Powtarzał z cicha:

– Panie, tego! Cudowny! Panie! Klękać!

Nie pochodziło to z umyślowego ubóstwa, ale nie był człowiekiem słowa... Bóg go stworzył do pędzla, to jest do czynu, który mu był wyznaczony.

Za to, gdy mówiono przy nim o sztuce, słuchał z uwagą niezmierną, z natężeniem, z głęboką wiarą, że mówiąc o sztuce, nikt, jak o świętości, bez przekonania i namaszczenia mówić nie mógł.

Z pierwszych jego szkiców i obrazków nie można go było sądzić, widocznym tylko z nich było, i że ten człowiek, który nawet techniki dzisiejszej uczyć się nie miał gdzie, wiele odgadł i stworzył; dla siebie. Myśl jego własna krążyła dotąd w ciasnym kółku kilku motywów wyniesionych z Litwy... Ubogie dzieci wiejskie, lasy stare, krajobrazy zadumane i smętne i jakieś istoty bajeczne, legendowe powtarzały się na płótnach poczętych.

Gdy miał malować, brał go niepokój o wzór... bo nic bez natury robić nie chciał, nie pojmował nawet, jak się bez niej obejść było można w najmniejszych akcesoriach. Wyśniewszy jakąś ondyń, rusałkę, świteziankę szukał jej potem na ulicy, a gdy nie znalazł, brał odartego wyrostka i malował żebraczkę...

Wprawy miał już wiele i pewną własną fakturę, z której mogła się doskonala, oryginalna wyrobić technika. Z podziwieniem widzieliśmy, że rysunek był poprawny, staranny, a nie tak niewolniczy, aby ze wzoru nie stworzył coś własnego. Wzór był dla niego tylko podporą, na której opierając się, własnego ducha tchnąwszy w niego, dawał niby tylko to, co widział, ale precudownie wyidealizowane w tym kierunku, jaki natura wskazywała. Idealizowanie to nie nadwierało prototypu, podnosiło go do najwyższej potęgi...

Dowmund, który ani się zastanawiał, jak to czynił, ani umiał wytłumaczyć, talentem od natury mu danym, instynktem dochodził do tego, co jest zadaniem sztuki: w śmiertelnym i znikomym dojrzeć i wydobyć z niego nieśmiertelne i wiecznie prawdziwe...

Nic bez wzoru malować nie mogąc, a zapłacić za model nie mając czym, biedny człek dzielił się ostatnimi fenigami z najuboższą dziatwą uliczną i musiał się ograniczać jej malowaniem...

Obdartusy te powtarzały się na jego obrazkach. Gdy mu lasu było potrzeba, szedł do Szwajcarii Saskiej, ale tutejszy las po litewskim wydawał mu się ironią.

Z saskich jodeł i sosen tworzył litewskie, których widma przyniósł z sobą w pamięci.

Gdyśmy się o nim dowiedzieli i nim mu można było przyjść w pomoc kupnem paru robót jego, Dowmund był już tak przybity nędzą, tak złamany walką, że choć podźwignąć się zapragnął, było za późno.

W dzień milczący, nieśmiały, osłupiały, zapracowawszy się, aby ze światła korzystać, wieczorem nie umiał sobie radzić inaczej: albo szedł gdzieś do szynku, tam, gdzie się nie obawiał, aby go znaleźiono, lub kupował flaszkę wódki i postawiwszy ją pod łóżkiem, poty pił, aż upojony nie zasnął snem gorączkowym.

Wstawał potem osłabiony, drżący, bezsilny i zjadłszy chleba wracał do pracy, która go tak samo upajała jak wódka. Olbrzymie siły nie mogły podolać takiemu życiu wyczerpującemu, niszczącemu, zabójczemu. Dowmund też wyglądał straszliwie i patrzeć nań było bolesnym.

Starano się go oderwać od tego trybu życia, zapraszać, aby karmić, zatrzymywać, aby zmusić do zmiany nałogu i nawyków. Niekiedy się to udawało chwilowo, lecz zostawiony sam sobie, powracał do wódki i do marzeń... Nie żył prawie z nikim. Na próżno starano się go ugłaskać, przyswoić, spoufalić; dziki był, a długa samotność uczyniła to zdziczenie naturą.

W czasie, gdy prawie trzeźwy pracował z rana, bo nie zwykł był pić, gdy zmrok go ode-
rwał od sztalugi, Dowmund nie mając świadków, oprócz swych wzorów w łachmanach
wziętych z ulicy, wpadał w jakieś marzenie i zapał, który go zmieniał.

X podpatrzył go z pędzlem malującego rusałkę w lesie i zdumiał się ogromną metamorfo-
zą. Oczy mu ciemniały i nabierały ognia, twarz – wyrazu energicznego, prostował się i rosła,
potężniał i malując mruczał coś sam do siebie... Śmiał się do obrazu, odchodził, przybliżał,
rozgorączkował.

Pochwycony na uczynku, jak ślimak, który chowa rogi, natychmiast kurczył się, malał,
milkł i ostygł...

Malować przy nikim nie mógł. Proces ten dla niego był aktem tajemniczym, którego oko
ludzi profanować nie powinno było.

Przez dosyć długi czas połączone starania tych, co się nim zajmowali, niewiele skutkowa-
ły, lepszy byt lepszą tylko wódkę ciągnął za sobą, stopniami jednak Dowmund począł się
wstydzic, zapragnął przezwyciężyć.

Jak się później okazało, nie starania życzliwych, ale inna okoliczność podziałała na zmianę
usposobień Dowmunda.

Stacyjka w hoteliku, nędzna, była stosunkowo drogą, a w najwyższym stopniu niewy-
godną. Zaczęto go namawiać, że mógł i powinien być nająć parę umeblowanych pokojów
skromnych, w odleglejszej części miasta, gdzie było taniej, i tam przenieść penaty³³.

Opierał się w początku, leniwy był i do zmian nieskory; w tym kwartale, w którym zasie-
dział się, znały go dzieci i łatwo się do stania, jako modele, ściągac dawały. Któż wie? Miał
może kredyt w jakim szynku, bo i to być mogło...

Lecz na ostatek, gdy zamówiony obraz większych rozmiarów malować na poddaszu było
niepodobna, Dowmund dał się skłonić do tego, aby szukać nowego mieszkania.

Niewybredny wcale, zdawało się, że z pierwszym lepszym się pogodzi, ale stawało to na
przeszkodzie, że wszystkie niemal mieszkania, które się stręczyły, miały wnijscie wspólne z
gospodarzami. Tej niewoli Dowmund się poddać nie chciał, upierał się przy wynalezieniu
izdebek, do których by miał wnijscie osobne i gdzie by go nikt nie kontrolował... Bóg wie!
Powracał, czasem mocno napiły i wstydział się tego...

X, który go raz w tym stanie złapał na ulicy, z trudnością poznał w nim nieśmiałego, mil-
czącego Dowmunda.

Napój zupełną w nim dokonał metamorfozę. Stawał się zuchwałym, szyderskim, wielo-
mównym, a nawet, w co było najtrudniej uwierzyć; zarozumiałym.

Gdy X nam o tym rozповідаł, sądziliśmy, że obgaduje nieszczęśliwego, lecz mieliśmy
sposobność przekonać się, że tak było w istocie.

Dowmund zwykle unikał tego, aby z nami i przy nas sobie podchmielić! Wódki, nawet
przed obiadem odmawiał, siedział u stołu milczący, i kwaśny.

W tym roku właśnie, gdy się liczba ziomków w Dreźnie zmniejszyła, a domy, w których
zwykle obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, znikły przenosząc się
gdzie indziej, pozostała garstka nasza postanowiła na Wigilię Bożego Narodzenia zebrać się
gdzieś, bodaj w niemieckiej restauracji, byle być razem.

Niestety! Wigilii polskiej wedle starego obyczaju żadna siła ludzka tu na obczyźnie stwo-
rzyć nie mogła.

Niemcy za pieniądze gotowi są wszystko w świecie wykonać podług obstalunku, nie zby-
wało im na dobrych chęciach, ale żeby ta wieczerza uczyniła wrażenie, którego wspomnienia
pozostały z lat dziecinnych, brakło... wszystkiego!... począwszy od powietrza, aż do snopka
naszego zboża w kąciku.

³³ Penaty – w mitologii rzymskiej bóstwa opiekujące się domem; tu w przen.: ognisko domowe.

Nasze odwieczne potrawy tu w parodiach jakichś występowały, siano na stole nie było naszym sianem, opłatki wyglądały inaczej, ryby niepodobne były do naszych, a kutia i makowe przysmaki nie dały się nawet strawestować³⁴ na żarty.

Cóż było robić przy takiej chybionej wieczerzy, której jedyną przyprawą była myśl, iż w tej samej godzinie gdzieś daleko szczątki rodzin naszych łamią opłatki i może... o nas pomyślą!

Kropiono ducha butelkami wina, do którego wreszcie i Dowmund się dał namówić, ale pił je jak wodę i nie widać było, żeby go ono rozweselało nawet. Smutniejszym stawał się coraz.

Dopiero gdy przy kawie przyniesiono koniak i likwory, a X począł do dużego kieliszka nalewać ich Dowmundowi i parę gwałtem zmusił wypić, zobaczyliśmy zupełną malarza metamorfozę.

Otworzyły mu się usta, podniósł głowę, uśmiech twarz rozjaśnił – i począł mieszać się do rozmowy.

Nastrój ogólny był ożywiony i wesoły. Dowmund, nie umiejąc się zastosować do niego, wpadł w zapał jakiś dziwny...

On, który nigdy słów kilkunastu związać nią umiał w rozmowie, stał się prawie wymownym.

X dolewający mu koniak obrachował, że całą butelkę wyszafował na to obudzenie ducha...

Rozmowa, nie wiem jak, zwróciła się do sztuki.

– Co to mówić o sztuce? – zawołał przysłuchawszy się temu, co X zagaił ze mną – w tym przedmiocie nikt nie wie tajemnicy życia i nikt nie odgadnie tajemnicy sztuki... Prawidła! Tu nie ma żadnych prawideł! Nauka! Sztuki się nauczyć nie można. Przynosi ją z sobą człowiek w tym węzélku, którym go wyposażono z tamtego świata, albo nigdy mieć nie będzie... Ja, gdym się do życia obudził, wiedziałem, że malarzem być muszę... Nędza połamała skrzydła! Nie udało się. Nie wszystkie ziarna schodzą...

Ktoś począł o Dreźnie i akademii. Dowmund się śmiał.

– Jaka to akademia? – rzekł – jedyna prawdziwa to galeria... a wszystko to, co o niej z katedr bredzą, funta kłaków niewarte... Najwięksi malarze pewnie się u nikogo malować nie uczyli, tylko u samych siebie.

– Ależ technika! – przerwał mu X.

– Każdy mieć musi swoją – odparł Dowmund – a kto jej stworzyć nie umie, nie jest artystą. Pożyczaną techniką nie zajdzie daleko.

Machnął ręką, aż kieliszek próżny wyrzucił, ale i to go nawet nie zmieszało, tak był rozgorączkowany.

– Cała sztuka w duszy – zawołał. – Obraz trzeba mieć wprzódy w sobie, nim się go na świat wyda, a kto go szuka na płótnie, znajdzie tylko plagiat... Gdy mi się obraz śni, ja go węglem, palcem, nogą, błotem i gliną namaluję!

Słuchaliśmy zdziwieni mocno. Dowmund, odrodzony, dumnie i z góry na słuchaczów spoglądał. Wkrótce jednak jakiś dysonans w rozmowie, jakieś niedostrzeżone słowo, które go otrzeźwiło, zamknęło mu usta.

Wieczór ten dla nas był rewelacją człowieka, jakiegośmy w nim ani znali, ani się domyślali; na nieszczęście potrzeba było tego sztucznego środka, tego stanu nienaturalnego, aby się Dowmund objawił nam, jakim był wewnątrz.

Skorzystałem z tego rozwiązania ust, aby mu dodać odwagi i niepowodzenia pierwiastkowe, męczarnie, na jakie tu był wystawiony, wytłumaczyć wyborem tego nieszczęsnego Dreznia, które wcale inaczej się przedstawia z daleka, niżeli jest w istocie.

Słuchając milczał.

³⁴ Trawestować -przerabiać, parodiować.

– Pan nie jesteś fatalista? – zapytał po przestanku.

Nie odpowiedziałem na to pytanie, a Dowmund pochwycił zaraz:

– Ja wierzę w przeznaczenie, nikt losu swojego uniknąć nie może. Mój był taki, że musiałem wędrować tu i tu się zadławić nędzą, ale czy to koniec? Ja nie wiem. Nędza, widzi pan; to jak komu: jednych zabija, drugich odżywia... Kto wie, co czeka dalej?

Do późna w nocy trwały rozmowy i po zanuceniu „W żłobie leży...” rozeszliśmy się wszyscy rozmarzeni, smutni, a pocieszeni tym, że się w nas wspomnienia rozkołysały.

Gdy nierychło potem spotkał się z Dowmundem znowu i spodziewał się znaleźć go rozmowniejszym, ze zdumieniem postrzegłem, iż powrócił do swego normalnego milczenia, bojaźliwości, osłupienia. Słowa się od niego dopytać nie było podobna.

Na wiosnę, zmuszony do dłuższej podróży, opuściłem Drezno na kilka miesięcy. Powróciwszy, wielu z ziomków nie zastałem, a Dowmund mi całkiem wypadł z pamięci.

Ponieważ co roku sławna galeria drezdeńska powiększa się nowymi nabyciami, a nie wszystkie z nich do nowszych szkół należą, ciekaw byłem, czy w czasie niebytności mojej coś nie przybyło do dawnych malarstwa zabytków.

Jednego dnia więc poszedłem znowu do galerii, poczynając mój obchód od Rafaelowskiej „Madonny”. Nie było nowego tak jak nic, oprócz dwu. krajobrazów Salvatora Rosy, w tym rodzaju jego, który tak naśladowano zrećnie później, że niekoniecznie wszystkie Salvatory za autentyczne uchodzić mogą.

Przy tej sposobności zwróciłem się naturalnie do Ruysdaela, aby podumać przy jego „Cmentarzu” i nacieszyć się małymi obrazkami... Szedłem do „Cmentarza”, gdy z dala już poznałem stojącego przed nim Dowmunda, zapatrzonego, pogrążonego w tej kontemplacji, obcego całemu światu... z rękoma jak do modlitwy złożonymi.

Usiadłem z boku, nie chcąc mu być natrętnym, i więcej jemu niż Ruysdaelowi się przypatrując.

Tak, był to on, Dowmund, ale zaszła w jego powierzchowności zmiana wielka, dająca do myślenia.

Twarz miał innego wyrazu, ubiór staranniejszy, jakieś uspokojenie i pogodzenie się z życiem zwiastowało wejrzenie jaśniejsze, oblicze nie tak jak dawniej zamknięte.

Ale zarazem krótki ten przebieg czasu okrutnie go zestarzał; wychudł, oczy mu się powiększyły, pierś zdawała wpadła. Ręce, które trzymał przed sobą, uderzały tym, że się składały z kości i skóry tylko...

Nagle zakaszłał się mocno, przytknął chustkę do ust i ustąpił na bok, aby napad silny uśmierzyć... Potrzebował na to dosyć czasu, nim zmęczony, krokiem chwiejnym zdołał się przywlec do kanapki i nie poznając mnie siadł tu spocząć.

Podąłem mu rękę. Przestraszył się i drgnął cały... nie poznał mnie od razu, musiałem się przypominać.

– Jesteś pan ciągle w Dreźnie? – zapytałem go. – Słyszałem, żeś miał myśl udać się do Krakowa.

– A! Tak, do Krakowa – rzekł roztargniony – tak, lecz nie myślę teraz się stąd wynosić. Do Drezna, jakie ono jest, można się przyzwyczaić i przyrosnąć.

– Jakże mu się powodzi? – zapytałem.

Rozśmiał się smutnie.

– Stosunkowo nawet nieźle – odparł.

Z podziwieniem przekonywałem się, że był rozmowniejszy daleko, nie unikał rozmowy, śmieje się odzywał i słowa mu płynęły łatwiej, ohotniej.

– Malujesz pan co?

– A! Ja? Ja zawsze! Zawsze! – odparł. – Mam teraz wielki obraz w myśli... wielki, cudowny, ale mi się jeszcze tak przedstawia mglisto, że malowania począć niepodobna. Dobywam go dopiero z tych mroków...

Po chwili spytałem, czy mi się pozwoli odwiedzić. Zmieszał się jakoś.

– Ale bo – rzekł – widzi pan, ja tak mieszkam i daleko, i biednie, a u mnie tak mało do widzenia...

Zakaszła się znowu i nie dawszy mi swego adresu, chustką zatuliwszy usta, zniknął uchodząc jakby przed natręctwem moim.

Kaszel jego nie podobał mi się, a zresztą zmiana, jaką dostrzegłem w nim, nie zdawała się na gorsze... Woląłem go teraz takim, jakim widziałem...

Nierychło potem będąc u X zagailem o Dowmunda.

– Co się z nim dzieje?

– A! – odparł mój przyjaciel – nie wiem, jak określić, co z nim. Lepiej, gorzej? – trudno powiedzieć... Byleby tylko suchot nie dostał.

Jakiś czas potem znowu nie widziałem artysty. Mówiono mi, że malował i udało mu się zbyć kilka swoich kompozycji i kopii, co wszędzie, a szczególnie w Dreźnie, jest niepospolicie trudnym.

Kopie z galerii kupują, tylko więksi właściciele magazynów artystycznych, a że i zarobić lubią, i często nieprędko sprzedać im się uda, płacą więc artystom niewiele więcej nad to, co płótno i farby warte. Własne utwory malarzy, jeżeli nie są bardzo udatnymi krajobrazami z natury, mogą się przydać chyba „kochanym ziomkom”, a ci kupują z łaski...

Słowem, artysta, który jeszcze nie zdobył sobie imienia, ciężką walkę z losem staczać musi o suchy chleba kawałek...

Parę razy spostrzegłem z daleka na ulicy Dowmunda i widok jego mnie pocieszył. Ubrany był prawie elegancko, a przynajmniej z pewnym staraniem, aby po ludzku wyglądać, włosy były przyczesane, buty całe, surdut nie tak zszarpany. Wszystko to mogło zwiastować pewne przejednanie się z rzeczywistością, nabranie ochoty do życia.

Upłynęło parę miesięcy znowu. X przyszedł do mnie z życzeniem, abym obrazek Dowmunda, wymalowany dla pani Z. na jej żądanie, zobaczył, osądził i gdyby potrzeba, uczynił jakąś uwagę... Sam Dowmund miał tego życzyć sobie, odmówić było i niegrzecznie, i niesumiennie. Szło o przyszłość artysty.

Umówiliśmy się o dzień i o godzinę. Dowmund mieszkał w jednej z uliczek naówczas jeszcze istniejących, na stary sposób pobudowanych, tak zwanego Pirajskiego Przedmieścia, dziś od dawna do miasta wcielonego.

Uliczka, której imienia nie przypominam sobie, miała jeszcze ogródki zielone, a domki jej jednopiętrowe przypominały budowy XVIII wieku. Tu można się jeszcze było sądzić przeniesionym do małego prowincjonalnego miasteczka.

Życie w tych uliczkach było też inne niż w mieście, rzadko się tu zjawiały powozy, a dzieci w koszulinkach zabawiały się swobodnie piaskiem na chodnikach. Akacje wychylały się z ogródków gałęzmi w ulicę, bielizna schła na drewnianych płotach. Ale w oknach skromnych mieszkań widać było doniczki z kwiatami i życie nimi przeglądało to stare, spokojne, poczciwe, nie dobijające się blasku, którego dziś trudno gdzieś znaleźć.

Kamieniczka, do której weszliśmy, niewielka, miała nad pierwszym piętrem w dachu parę pokojów, a te Dowmund zajmował. Schody były stare, ale czyste, budowa także nie zdawała się dzisiejszą ani rozmiarami, ni stylem. Jedną ścianę od dziedzińca okrywała stara winna latorośl, okryta bujnymi liśćmi, w ogródku pełno było róż i kwiatów.

Gdyśmy wchodząc pomijali parter, otworzyły się drzwi z boku nagle i w nich ukazało się dziewczę, które zarumienione, zobaczywszy obcych, natychmiast drzwi zatrzasnęło i znikło, aleśmy mieli dosyć czasu, aby to piękne zjawisko widzieć w całym blasku.

W bardzo skromnej perkalikowej sukience, która na niej leżała jak ulana, panienka z chusteczką białą na szyi, z główką odkrytą, otoczoną warkoczami bujnych złocistych włosów,

miała twarzyczkę idealnej piękności, a tak poetycznego wyrazu, iż oba stanęliśmy zdumieni i zachwyty się musiał na nas malować, bo dziewczę zmieszane odwróciło się szybko i pierzchnęło.

Spojrzeliliśmy na siebie z X, który uśmiechając się zrobił uwagę, że dla malarza mieć na parterze taki cudny wzór i spotykać go co dzień może być osobliwym szczęściem, bo cudniejszego wzoru trudno było znaleźć.

– Niepodobna, ażeby go nie natchnęła! – zawołał X.

U góry czekał już na nas Dowmund we drzwiach otwartych, aby do pracowni wprowadzić.

Nie była ona tak zaniedbaną i brudną jak pierwsza, ale ubóstwo i tu patrzyło z każdego kątką. W środku pokoju, w niezłym świetle, na sztalugach wystawiony był obrazek tak jak ukończony.

Dowmund milczący wprowadził nas wprost przed płótno.

Wystawiało ono jakąś rusałkę czy świteziankę, istotę idealną, legendową, zaledwie dotykającą stopą ziemię, płynącą ponad nią. Skronie jej były uwieńczone kwiatami wodnymi.

Na pierwsze spojrzenie poznałem w rusałce wzór, który tylko co się oczom naszym przedstawił; niepodobna się było omylić, że to było studium z natury. Malarz tylko z ziemi zupełnie tę istotę przeniósł w krainy nadpowietrzne i uczynił ją niemal bezcielesną.

Była prześliczna, a cały obrazek miał doskonale pochwycony charakter poetyczny, legendowy, jakiegoś podania ludu. Wyglądało to jak strofa z jakiejś pieśni.

Szczególniej pięknie był pojęty krajobraz i tło w mrokach, mgłach i światłach jakichś czarodziejskich tajemniczo go przerzynających.

Staliśmy długo, nic nie mówiąc, i zdaje się, że to milczenie niepokoiło Dowmunda, bo się oglądał ciągle na mnie i na X, jakby wyzywał, abyśmy coś powiedzieli o obrazie.

Czerwieniał i bladł. Widząc go tak poruszonym, począłem pochwałą kompozycji, na którą ona ze wszech miar zasługiwała.

X jeszcze się więcej unosił nad nią. Uścisnęliśmy rękę artysty, a ja obróciwszy się do niego wpatrywałem się teraz w twarz uważniej.

Uderzyła mnie wychudzeniem i jakby chorobliwym wyrazem, który dziwnie się na niej zlewał i łączył z jakimś wewnętrznym uspokojeniem i daleko większą pewnością siebie, niż dawniej Dowmund okazywał. Zmężniał i dojrzał, widocznie był panem swego talentu.

Na pochwały jednak odpowiedział bardzo skromnie, iż spodziewał się coś więcej i lepszego stworzyć w przyszłości, że mu po głowie chodziły cudne pomysły, których wykonanie w warunkach, w jakich się znajdował, niestety, było niemożliwe.

W istocie, ta tak zwana pracownia była izdebką ciasną, niską, a i okno tym tylko się odznaczało, że refleksów od ścian i murów nie przynosiło, bo umieszczone było dosyć wysoko.

Cokolwiek większych rozmiarów obraz niepodobieństwem było malować.

Oprócz rusałki już dokończonej, do ścian poodwracane stały umyślnie płótna, których artysta nie chciał nam pokazywać, ale X, lepiej z nim spoufalcony, nie zważając na opór i wymówki, kilka z nich wyciągnął. Niemal na każdym z tych poczętych płócien była główka niewieścia zawsze taż sama, zawsze ta z dołu dziewczeczka, ale w rozmaitych postaciach.

Artysta musiał czuć, że się tym zdradzał, bo czerwieniał mocno, jękał się, odbierał panu X szkice... i w końcu odwrócił jego uwagę, wyciągnąwszy zupełnie innego rodzaju scenę nocną, w której oprócz dość szczęśliwego studium światła nie było nic nadzwyczajnego.

X, chociaż był z Dowmundem bardzo poufale, wstrzymywał się od wszelkich uwag nad tą powtarzającą się twarzyczką, aby nieśmiało człowieka nie wprawiać w kłopot.

Zabawiliśmy chwilę, przysiadłszy naprzeciw obrazu. Dowmund, czy ze wzruszenia, czy od dymu cygar, parę razy się mocno zakaszał. Kaszel ten, który mnie uderzył już w galerii, miał charakter niedobry, poradziłem mu coś, podziękował, ale dodał, że to po prostu katar zastarzały.

Zabawiwszy jakiś czas, wyszliśmy przeprowadzeni przez niego, a w ulicy X odezwał się do mnie, iż bardzo się cieszy, że wedle najpewniejszych wiadomości, jakie zasięgnął o Dowmundzie, artysta miał zupełnie wziąć rozbrat z tą nieszczęsną wódką, którą się w początkach zalewał tak okrutnie.

– Ale teraz – dodał X – lękam się, aby Dowmundowi nowe nie groziło niebezpieczeństwo. Niepodobieństwem jest, aby się nie zakochał w tym swoim cudnym modelu, któryśmy widzieli żywym i malowanym! To może być niemal straszniejszym od wódki, bo jedno z dwójga: albo go poprowadzi do rozpacz, lub do ożenienia. A taka Niemeczka śliczna – mówił dalej X. – ma tylko jedną w życiu godzinę, w której jest ideałem. Wkrótce potem przeradza się ona w bardzo pospolitą, prozaiczną istotę, która całym brzemieniem zaciąży na biednym artyście. Wątpię bardzo, aby zamożną była, a w takim razie nie wydadzą jej za takiego biednego przybłądę i w dodatku Polaka; jeżeli jest ubogą, on dla niej zabić się będzie musiał i talent poświęci dla chleba... tak jak krew by swą wytoczył dla ukochanej.

– Zdaje mi się – odparłem, gdyśmy wyszli na ulicę – że obawy są przedwczesne. Nie sądzę, aby Dowmund skłonny był do zakochania się.

X, który był ciekawy i żywo go los biednego artysty obchodził, wkrótce potem doniósł mi śmiejąc się, że nie mógł wytrzymać, aby nie zasięgnąć wiadomości o mieszkańcach domu, w którym stał Dowmund.

Dół zajmowała właścicielka kamieniczki odłużonej, obarczona liczną rodziną. Była to wdowa po kamerzysty³⁵ Szmicie. Najstarsza jej córka, ta piękność, którą widzieliśmy, kształciła się w konserwatorium na śpiewaczkę, imię jej było Gretchen.

Miała, jak się zdawało, przyszłość przed sobą i nie mogła bałamucić biedaka, który też nie miał nic w sobie, co by dziewczynę pociągnąć mogło. Ani powierzchowność, ani wymowa nie czyniła go ponętym.

X słyszał, że zaledwie parę razy Gretchen się uprosić dała, aby ją Dowmund malował.

Obawy o zakochanie były, jak się okazało, płonne.

Przeszło znowu kilka miesięcy, straciliśmy go z oczów.

Piękny istotnie obrazek naszego artysty, który pani... zamówiła przez litość, chociaż miał zalety niepospolite, ale imienia sławnego nie przynosił z sobą, został gdzieś do ciemnej izdebki wygnany. Nikt go już nie widział potem.

Parę razy spotkałem na Tarasie Dowmunda, lecz ani się od niego nic dowiedzieć, ani po nim domyślić nie umiałem. Raz zdawał mi się weselszy, to znów jakiś zrozpaczony.

Spytałem go, czy miał robotę, zapewnił, że na jakiś czas dosyć był zajęty. Nie skarżył się. Wkrótce jednak potem doniesiono mi, że należało poszukać mu jakiegoś zamówienia. Znalazłem parę portretów do przekopiowania, a oszczędzając jego miłość własną sam poszedłem z tym do niego... i nie znalazłem w domu. Przypadkiem pannę Gretchen spotkałem znowu na korytarzu, która mało co się rumieniąc oznajmiła, że *Herr von Dowmund*³⁶ wyszedł.

Mówiąc z nią miałem czas lepiej się jej przypatrzeć. Była w istocie piękną, ale widziana bliżej robiła wrażenie szczególne. Rysy były cudownie czyste, regularne, klasyczne, ogół i wyraz trywialny i ogołocony z poezji wszelkiej.

Tłumaczyłem to sobie tym, że życie pracy i ubóstwa wyidealizować nie mogło. Śliczna ta istota nigdy by skrzydłami myśli nie mogła się podnieść nad poziom, chodziła po ziemi... uczucie nie mogło jej dźwignąć, martwy chłód był wybitnym charakterem.

W tydzień potem na Tarasie w czasie koncertu spotykam mojego X.

Zaczęliśmy od muzyki, przeszliśmy od niej do Makarta, którego właśnie *Siedem grzechów* (Mór we Florencji) wystawione były. X wspomniał nawiasem, że Dowmund był zachwycony tą kompozycją.

³⁵ Kamerzysty – muzyk grający w orkiestrze tzn. kameralnej małowinstrumentowej (instrumenty smyczkowe i fortepian).

³⁶ *Herr von Dowmund* (niem.) – pan von Dowmund.

– Ale, à propos Dowmunda – dodał wesoło. – Zaszła podobno wielka zmiana w jego losie.

– Na złe czy na dobre? – spytałem.

– Na dobre – odparł X. – Stryjaszek jakiś bezdzietny zmarł mu na Żmudzi czy na Litwie... i Dowmund spadek po nim bierze.

X śmiał się.

– Bardzo to niewielka rzecz, bo nie wiem, czy piętnaście tysięcy rubli wyniesie, ale dla kogoś, co nigdy nie miał nic, jest to bardzo wiele. Lękam się, aby upojony tą fortuną nie puścił sobie cugli i żeby piękna panna Szmitówna i jej matka, sądząc go majątnym, nie pochwyciły w swe sieci.

Ledwie tych słów domawiał, gdy mijający nas pokazał się Dowmund, ale trudno mi go było poznać. Miał na szyi krawat niebieski, surducik aksamitny, kapelusz z ogromnymi skrzydłami, jak z igły, i piękną laskę w ręku. Z tym wszystkim było mu najśmieszniej nie do twarzy.

Szedł widocznie upojony szczęściem swoim, nie sam. Obok niego, sucha, wyprostowana, z twarzą pomarszczoną, ubogo, ale starannie ubrana, kroczyła mama Szmitowa, a za nią śliczna Gretchen, na którą ze wszystkich stron padały wejrzenia, tak w istocie cudnie była piękną maseczką.

Zobaczywszy nas Dowmund zmieszał się, bo nierad był, żeśmy go w tym towarzystwie widzieli. Poszli razem ku kawiarni.

Pomimo rozpromienienia na twarzy artysty uderzał wyraz straszny wyniszczenia, wyżycia, trwającej gorączki. Nim znikł nam z oczu, dwa czy trzy razy usłyszałem kaszel jego suchy, straszny, który on usiłował śmiechem stłumić.

– Uważałeś – rzekłem do X – jak on wymizerowany. Spadek przyszedł może w samą porę, aby mu na cmentarzu grób było za co kupić.

– A! Tak źle nie jest – odparł X. – Siły młodości wielkie, a potęga szczęścia także ogromna. Szczęście leczy. Dostać sukcesję i kochać się w takiej uroczej Gretchen!...

Dziś, gdy to piszę, w opustoszałym, choć coraz piękniejszym Dreźnie nawet Taras nie jest już tym, czym był. Te tłumy cudzoziemców, które miasto całe zalegały, wieczorami przepelniały sale. Szło się nie tyle dla muzyki, jak dla tysiąca twarzy, które tam spotkać było można. Nie było też prawie wieczora, ażeby się nie przeszło po Tarasie.

Wprędce potem znalazłem się znowu w sali obok Dowmunda, który pił grog i siedział tym razem sam jeden, ale z tak tryumfatorskim twarzą wyrazem, że miło by było na niego spojrzeć, gdyby nie wychudzone policzki i nie ciągły kaszel, który go dusił.

Przysiadłem się do niego, chcąc mu powinszować i przekonać się, jakie wrażenie uczyniła na nim zmiana losu.

– Cóż pan robisz teraz? – zapytałem.

Zwrócił się ku mnie.

– Pan wiesz? – odparł drugim pytaniem.

– Wiem i winszuję.

– A! – zawołał cały ożywiony, ale razem w tej chwili zduszony kaszlem, który nierychło mu pozwolił mówić dalej. – A! Cały jestem teraz w marzeniach. Cudowne obrazy chodzą mi po głowie, śnię o nich po nocach. Pani Szmit, u której mieszkam, kazała mi szopkę w dziedzińcu przerobić na pracownię. Kończą ją. Będzie niewspaniałą, ale doskonałą. Płótna mam zamówione, nie potrzebuję się ograniczać rozmiarami małymi. Figury wielkości naturalnej.

Potał ręką po czole.

– Trudność będzie z modelami – odezwałem się – iż mnóstwem akcesoriów, o które w takich miastach, jak Rzym, Paryż, Monachium, bardzo łatwo, a w Dreźnie ich prawie nie ma.

Dowmund pomyślał.

– Ale Drezno z innych względów dla artysty ma nieoszacowane korzyści. Galerię naj-
przód, potem spokój i ciszę, odosobnienie.

Zaczepiłem go o treść przyszłych kompozycji.

– Mam ich dziesiątkami do wyboru! – zawołał. – Najprzód taniec rusalek po księżycu w
lesie, nad jeziorem... potem kilka ilustracji do poezji Krasińskiego i Słowackiego.

Oczy mu się paliły.

– Wybór był trudny. Sam nie wiem, od czego pocznę, a chciałbym stworzyć od razu arcy-
dzieło.

Widać, że w głowie natłok myśli nie był jeszcze uporządkowany, bo chcąc mi z nich zdać
sprawę przechodził z jednej do drugiej, plątał się, mieszał, zamyślał nagle, przerywał sobie.
Oczy jego widziały już te kreacje przyszłe, ale usta opowiedzieć ich nie umiały.

Potrzebował czasu, aby wszystko to w nim osiadło, ułożyło się i przybrało formy więcej
oznaczone, ale umysł był ogromnie zajęty.

Przyznał mi się, że po całych nocach śnił o tych przyszłych obrazach swoich, że je czasem
w marzeniach widział już wykończonymi, a przebudziwszy się nie mógł sobie jasno i wyrazi-
ście przypomnieć.

Po pierwszej szklance grogu nastąpiła druga, kaszlał coraz mocniej i w końcu z sali ustąpić
musiał. Ciekawy nowej pracowni i biednego Dowmunda, którego stan zdrowia mnie niepo-
koił, poszedłem w kilka dni na małą uliczkę zastukać do tego domu, w którym się mieścił.

Służąca wskazała w dziedzińcu świeżo, naprędce skleconą pracownię.

Była to wielka izba naga, z oknem olbrzymim ku północy – w istocie doskonała dla malar-
za, ale czuć w niej było jeszcze mocno wilgoć, wapno, farbę, pokost i powietrze było niezno-
sne.

Dowmund się właśnie przenosił z malarskimi przyrządami, gdyż mieszkanie zatrzymywał
na górze. Dwa ogromne płótna od Gellera stały już na nowiuteńkich sztalugach, ale dotąd nie
dotknięte węglem. Na stoliczku przygotowane były farby i pędzle zakupowane. Dowmund
krzątał się, ustawiał i w chwili, gdym wszedł, próbował giętkości manekina, który był kupił, i
niezmiernie się nim cieszył.

Przywitał się ze mną wesoło, lecz spostrzegłem, jak wprzód, że żywsze poruszenie, oży-
wiona rozmowa natychmiast kaszel obudzały.

– Czemu się pan nie radzisz na ten kaszel? – zapytałem.

– A! To samo przejdzie – rzekł – nawet się już zmniejszył. Cudowne światło! Moje dwa
ogromne płótna stoją tak wygodnie, tak przestronne, że to rozkosz prawdziwa.

– No, ale cóż malujesz?

– Właśnie się z tym biję! – zawołał. – Sam nie wiem, od czego zacząć. Zdaje się, że ule-
gnę pokusie i będę rusalki malował.

Uśmiechnął się zagadkowo.

– Bądź co bądź – dodał – charakter w obrazie wiele znaczy, ale główne zadanie sztuki –
odtworzyć piękność, wydzielić ją z tych ułomności, jakie wszelki objaw cielesny piętnują,
uczynić nieśmiertelną... Stworzę cały wieniec rusalek tak pięknych... tak pięknych...

Mówił jeszcze, gdy – zapewne o gościu nie wiedząc – w progu stanęła, jak ilustracja do
jego słów – Gretchen. Była tego dnia cudowniej piękna niż kiedy, bo coś w niej rozbudziło
ducha... i zdawała się nie tym, czym była w istocie, ale stokroć nad siebie same piękniejszą.

Dowmund zobaczywszy ją oniemiał. Dziewczę, gdy mnie spostrzegło, chciało się cofnąć,
ale nie zmieszało się do zbytku. Uśmiezek przebiegł jej przez usteczka, zaszwargotała coś
prędko, główką potrząsnęła i znikła.

Dowmund stał wpatrzony we drzwi.

– A cóż, panie! Czy nie ideał? – zawołał. – Królowa rusalek... ale ja, ja z niej jednej dobędę
kilkanaście coraz odmiennych.

Szybkim krokiem zbliżył się do mnie.

– Alem nie powiedział panu: to moja narzeczona, córka pani Szmit. Jestem szczęśliwy! Nad wyraz wszelki szczęśliwy! Nie wiem, czym Opatrzności za to szczęście wywdzięczę, jak mam Bogu za nie dziękować. Wszystko, com przecierpiał, zapomniane. To anioł, panie! A przede mną pole do tworzenia... olbrzymie. Czuję w sobie siłę ogromną.

Kaszel mówić mu nie dał.

W chwilę potem tłumaczył mi, że to było czysto nerwowe krztuszenie się, nic więcej.

Upojonego szczęściem tym pożegnałem wkrótce i wyszedłem z sercem ściśniętym. Stan jego zdrowia nawet dla profana był tak dobitnie, wyraziście niebezpiecznym, że widzieć go uśmiechniętym na brzegu przepaści sprawiało boleść niewysłowioną.

Wszystkie znamiona suchot, w tym wieku zabójczych, objawiały się tak stanowczo, iż wątpić nie było można, że dni jego są policzone.

Ale Gretchen mu się uśmiechała – i płótna czekały, aby myśl się na ich białych przestworzach wcieliła barwna i żywa.

Ten niegdyś tak milczący i bojaźliwy Dowmund, cały zamknięty w sobie, pod wpływem choroby może, stanu ducha, nadziei szczęścia i ziszczenia swych artystycznych marzeń był nowym, odrodzonym człowiekiem, a w piersi jego śmierć już zaczajona siedziała, czyhając na swą ofiarę.

Nie można się było powściągnąć od uczucia politowania, od najżywszego zajęcia jego stanem. Namówilem doktora W., ażeby ze mną pod pozorem zamiłowania w sztuce i jako amator poszedł do Dowmunda, starając się zbadać stan jego, czy była jeszcze jaka ocalenia nadzieja.

W kilka dni potem, spóźniwszy się trochę, ku wieczorowi, znaleźliśmy się z nim razem w pracowni malarza. Czując zapewne osłabienie kazał tu sobie urządzić rodzaj sofki do spoczynku, na której by się mógł położyć i odpocząć.

Zastaliśmy go naprzeciw białego jeszcze płótna, Wyciągniętego na tym łóżku zaimprovizowanym, z twarzą dziwnie ogorzałą, z rumieńcami wypalonymi.

Przypisywałem to rozbudzonej wyobraźni i chorobliwemu stanowi artysty. Wstał pośpiesznie na przyjęcie nasze, poruszony bardzo i zmieszany razem, witając mnie i doktora z pewnym zafrasowaniem i oglądając się dokoła niespokojnie.

Naówczas, śledząc jego wejrzenia, spostrzegłem nad sofką na półce butelkę, w której łątwo było poznać wódkę, zwaną „nordhäuser”. Wśród rozmowy z nami Dowmund nieznacznie chustkę rzucił na półkę, widocznie, aby zasłonić tę oskarżającą butelkę.

Był tak nienaturalnie podbudzony, ożywiony, iż nie mogłem wątpić, że osłabiony wrócił do dawnego nałogu, szukając w nim sił, których czuł, że mu brakło. Doktor nie spostrzegając może tego, ale się przysiadł do niego, począł żywą rozmowę o sztuce i pilno mu się przyglądał, przysłuchiwał, w oddechu, w barwie twarzy, w wyrazie oczu szukając symptomów do diagnozy.

– Nic więc jeszcze zaczętego nie ma? – zapytałem Dowmunda.

– Dotąd, niestety, nie! – odparł żywo. – Biję się z myślami, tłoczą mi się jedne od drugich świetniejsze, nie wiem, od czego mam poczynąć! Rzuciłem już kilka rysów na płótno, bo kartonów robić nie lubię, cały zapał i natchnienie od razu rzucając na obraz. Z kartonu robiąc, zawsze się już artysta staje kopistą i stygnie. To ostygnięcie może być czasem dla niego korzystne, ale zawsze osłabia, odejmuje ogień, którego nadto mieć nie można. Myślałem już o czymś podobnym do „Bitwy Hunów” Kaulbacha – dodał – bo mój obraz musi coś przedstawiać nadziemskiego w obłokach, ale bitwa, pochód apokaliptyczny śmierci, wojny i moru nie odpowiadają mojemu usposobieniu, wolę rusalki!

Mówił potem długo o tych niewieścich, idealnych, w mgły rozplywających się postaciach, o ich oświeceniu, o liniach kompozycji – rozmarzony, zadyszany, zakaszał się i padł na sofkę, nie mogąc wybuchu tego uśmierzyć.

Spoglądaliśmy na siebie z doktorem, który, sam zakatarzony, podał mu parę pastylków doktora Waltera. Dowmund przyjął je i na chwilę kaszel ustał. Zabawiliśmy jeszcze do zmierzchu i wyszli, przeprowadzeni przez niego aż do bramy. Silił się na wesołość i dobry humor.

Gdyśmy się oddalili nieco, pośpieszyłem spytać mojego towarzysza, co sądził o stanie chorego.

– Daj Boże, abym się mylił – rzekł – ale znajduję go bardzo źle... Głos dowodzi i oddech, że płuca są mocno zaatakowane... ma gorączkę.

O butelce z wódką nie śmiałem wspomnieć, ale przenikliwe oko doktora, nie widząc jej – domyśliło się czegoś. Zapytał mnie, czy nie wiedziałem co o dawnym trybie życia Dowmunda – powiedziałem prawdę.

– Nie ma wątpliwości – przerwał doktor – że mógł powrócić do nałogu czując się osłabionym. Chwilowo nawet może doznać ludzkiej ulgi, a że wątpię bardzo, aby mu życie uratować można... nie ma nawet co tu robić, trzeba zostawić go losowi... Przynajmniej nie czuje się ani zagrożonym, ani nieszczęśliwym, i cały żyje nadziejami. To mu koniec osłodzi.

Starłem się pomimo smutnego tego wyroku nakłonić doktora, ażeby odwiedził artystę, lepiej się mu przypatrzył i jeśliby czym mógł ulżyć w cierpieniu lub być pomocnym, nie usuwał się od tego.

– Tu nic już do zrobienia nie ma – rzekł wzdychając mój towarzysz – ale będę zaglądał. Smętne to a ciekawe razem widowisko.

Ponieważ Dowmund miał wprędce rozpocząć swoje rusałki i spodziewał się w chwili natchnienia rzucić główny zarys kompozycji na płótno, a życzył sobie, aby widziano jego pomysły i krytykowano go, po jakimś czasie znalazłem się znowu w pracowni. Zastałem go, jak niedawno, wyciągniętego na sofce, znużonego, naprzeciw płótna, na którym nie było nic oprócz kilku liniami oznaczonego lasu i tła, na którym postacie rusałek malować się miały.

Żadna z nich nie była nawet naszkicowaną.

Zarumienił się widząc, że z ciekawością wpatrywał się w płótno, na którym trudno coś było rozeznaczyć.

– Leniwym i niedołęgą mnie pan możesz nazwać – począł prędko – ale doprawdy natłok myśli jest takim nieszczęściem, jak brak ich zupełny. Nie mogę się zdecydować. W głowie mam obraz czasem cały, ale w chwilę potem zmienia mi się i wpadam w stan niepewności, co lepiej... A potem? Potem godzinami marzę, patrzę, męczę się i nużę.

– Mnie się zdaje – odparłem nieśmiało – że w takim razie szkic, próba... mogłaby najlepiej rozstrzygnąć.

– A! Nie – zawołał – nie, na te próby i szkice artysta się zużywa, zniechęca, osłabia. W pełni sił chcę przystąpić do dzieła.

Tym razem nie mogłem rozpoznać, czy biedny Dowmund miał gorączki trochę, czy ona była sztucznie wywołaną napojem. Poskarżył mi się na osłabienie, które przypisywał katarowi, radziłem się położyć, spocząć i z naciskiem dodałem radę, aby chłodzącego coś użył, a strzegł się wszelkich napojów rozgrzewających.

Posłyszawszy to, zmieszany mocno, począł bardzo żywo tłumaczyć się, że zachowywał jak najściślejszą dietę.

Nie pozwalając mu się odprowadzić wyszedłem smutny i miałem już pominąć dom, gdy stara pani Szmítowa, która mnie tu widywała, zatrzymała ukłonem w progu.

– A! – odezwała się po cichu i nieśmiało. – Gdybyś pan był łaskaw na chwileczkę wstąpić do mnie.

To mówiąc wprowadziła mnie do *gute Stube*³⁷ z małomieszczańską, ubogą elegancją urzędowej. Brak smaku i ubóstwo, które wielka czystość znośnym czyniła, charakteryzowały salonik.

Nie brakło w nim ani na komódce saskiej porcelany i podarków z dawnych lat, ani lichterzy ze świecami w koronkowych z papieru kołnierzykach, ani haftowanych a okrytych kapkami stołeczków, ani rodzinnych fotografii i portrecików na ścianach.

Zaledwieśmy próg przeszli, obróciła się ku mnie z twarzą stroskaną, ręce składając obie jak do modlitwy.

– Mój dobry panie... Jesteś ziomkiem pana von Dowmund... Zmiłuj się, widzujesz go dosyć często... powiedz, jestem przestraszona... Zdaje mi się – chory i coraz gorzej, więcej osłabiony... Oświadczył się o moją Gretchen... mówiono, że wziął spadek znaczny, że mógł być bogatym. Myśmy biedni, ja i Gretchen zgodziłyśmy się na zaręczyny. Co teraz począć! Doktor F., nasz przyjaciel, który go widział, mówił mi poufale, iż życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Biedna Gretchen!

I ocierając łzy szepnęła cicho pani Szmitowa:

– Żebyś pan przynajmniej mu przypomniał obowiązki, powinien narzeczonej zapisać, co ma... Ta biedna Gretchen... Ona takie około niego ma staranie... Sześć koszul uszyła na maszynie... i wszystką bieliznę dla niego prasuje...

Nie wiedziałem w istocie, co odpowiedzieć, lecz zdało mi się, że obawy dodawać nie powinienem... i starałem się uspokoić staruszkę.

– My bo, proszę pana – odparła po chwili – do niczego szczęścia nie mamy. Ot i z tym Polakiem. Gdyby żył, Gretchen byłaby może szczęśliwą, ja spokojną. Tak się stało ze mną, nieboszczyk nie dosłużył emerytury całej, a niewiele mu do niej brakło.

Nie śmiałem ostrzec wdowy, aby Dowmundowi nic pić nie pozwalała... bałem się wspomnieć o „*nordhäuserce*”... napomknąłem tylko, że ścisła dieta w jedzeniu i napojach była konieczną.

– A! Już co do tego pan może być spokojnym – odparła. – I ja, i Gretchen gotujemy mu same. Ma co dzień *Fleisch mit Gemüse*³⁸, a piwo leciuchne, nic więcej. Sałaty ze śledziem i kartoflami, którą lubi, nie pozwalamy mu.

W progu jeszcze, podając mi rękę, pani Szmitowa powtórzyła, iż jeśliby narzeczonemu się pogorszyło, rachuje na mnie, abym mu obowiązek względem Gretchen przypomniał.

Ta mieszanina najsmutniejszej w świecie tragedii z najtrywialniejszą rzeczywistością tak mnie dotknęła nieprzyjemnie, że długo potem unikał nawet dowiadywania się o Dowmunda...

Pomocą mu być stawało się niepodobieństwem, a patrzeć na ten zgon artysty, na którym można było wielkie pokładać nadzieje, boleśnie ścisła serce.

Późną jesienią wszedł do mnie X z twarzą posępną.

– Dowmund mnie po kilkakroć pytał o was – rzekł – Dlaczegoż byście go nie odwiedzili? Jeżeli kiedy, to dziś jest to obowiązkiem.

– Dlaczegoż dziś? – zapytałem.

– Bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jutro będzie za późno – rzekł X lakonicznie.

– Jak to?

– Dowmund niewątpliwie dogorywa – odparł mój przyjaciel. – Boleśnie jest patrzeć na niego, ale okrucieństwem byłoby go opuścić.

Oświadczyłem się natychmiast z gotowością towarzyszenia X, który miał po południu odwiedzić artystę. Nie chciał mi nic więcej powiedzieć o stanie jego, oprócz że zdawał się zrozpaczony.

³⁷ Gute Stube (niem.) – pokój, w którym przyjmuje się gości.

³⁸ Fleisch mit Gemüse (niem.) – mięso z jarzynami.

Przed zmierzchem znaleźliśmy się znowu w pracowni, bo Dowmund, doznając trudności wchodzenia na schodki do dawnego mieszkania, przeniósł się tu już całkiem. Gdyśmy wchodzili, usiłował się dźwignąć z sofki, ale natychmiast opadł na nią... Był straszliwie wychudzony, oddech miał krótki, ale twarz mu się śmiała i oczy błyskały jasno.

– Chwilowe osłabienie – odezwał się do mnie – wkrótce to przejdzie. Czuję się zupełnie dobrze.

Tuż przy sofce siedziała, gdyśmy weszli, Gretchen z małą siostrzyczką; miała jakąś robótkę w ręku. Piękna, spokojna, zimna, zrezygnowana, starała się uśmiechać.

– Pan widzi – odezwał się Dowmund do mnie, chwytając rączkę narzeczonej i okrywając ją namiętными pocałunkami – jakiego mam anioła stróża przy sobie. A! Jestem też prawdziwie szczęśliwy... Teraz już nic nie staje na przeszkodzie, abym wielki mój obraz rozpoczął... Siły powrócą wprędce, natchnienie czuję potężne. Spójrz pan tam – wskazał na płótno. – Królowa rusalek już się unosi w powietrzu, ale to tylko cień zaledwie tego, czym ona będzie!

W istocie, na płótnie, blade pomalowana, sama jedna, jak widmo, zawieszona w powietrzu leciała Gretchen wyidealizowana, podobna do niej, ale nie taka, jaką była żywa, stokroć piękniejsza nad nią, a wzór siedzący obok wydawał się dziwnie zimnym i zastygłym obok tej postaci, która z niego stworzoną została.

Z wielkim zapałem Dowmund począł mówić razem o obrazie i o przyszłym swym małżeństwie, o szczęściu, które go czekało. Mówiąc zwracał się do ładnej Niemeczki, chwytając ją za ręce, które ona mu posłusznie dawała, zapalał się, szalał, śmiał się...

Kaszel przerywał mu to uniesienie, przykładał chustkę do ust. Gretchen podawała pastylki, a Dowmund znowu wracał do gorączkowego marzenia.

X i ja staraliśmy się przerywać mu, nie dając mówić nadto. Gretchen szeptała, że doktor nakazał nie męczyć się, ale to nic nie pomagało: Dowmund potrzebował dzielić się z nami szczęściem swoim.

Widok był przejmujący.

Dziewczę, które się obyło z tym lub może nie widziało niebezpieczeństwa, siedziało wyprostowane zimne, obojętne i czasem tylko półuśmiechem odpowiadało na zaczepki artysty.

Ten chłód nie raził Dowmunda, miał w sobie namiętności za dwoje, a ostygłość Gretchen przypisywał zapewne jej skromności przy obcych.

– Do wesela wszystko już jest przygotowane – rzekł zwracając się ku mnie. – Potrzebuję tylko dni parę, aby osłabienie przeszło. Dziś już ono znacznie się zmniejszyło, jestem dużo lepiej. Kaszel tylko trochę uparty pozostał. Nie proszę nikogo na skromne moje wesele – dodał – chcę, aby było ciche i nie męczyło mnie zbyt, bo jeszcze jestem konwalescentem³⁹. Natychmiast potem wezmę się do płótna i czuję, że praca pójdzie mi teraz łatwo. A! Jak jestem szczęśliwy!

Zaczął się zmierzchać, Gretchen wstała, aby lampkę zapalić. Złożyła bardzo systematycznie swą robótkę, zdjęła mitenki i z wielką ostrożnością dopełniła swojego obowiązku, po czym dygnawszy nam, razem z siostrzyczką, poszła do matki.

Zaledwie się drzwi za nią zamknęły, gdy Dowmund podniósł się na sofce, składając wychudzone ręce.

– Trzeba mojego szczęścia – zawołał – aby natrafić na taką perłę! Piękna jest, to najmniejsza... ale jej złote serce, ale jej rozum, jej talent! Nie słyszeliście, jak śpiewa... a przy tym – anioł miłosierdzia! Wprawdzie nie byłem ja tak mocno chory, jak się troskliwej matce i córce, i doktorom zdawało... lecz jak chodziły koło mnie! Co to za istoty łagodne, dobre, ciche!...

Raz rozpoczynając pochwały swej Gretchen, Dowmund nie mógł już mówić o niczym więcej. Chcieliśmy go namówić do spoczynku i odejść, nie puścił nas... Potrzebował obszernie wyłożyć plan, teraz już stale obmyślony, obrazu.

³⁹ Konwalescent, rekonwalescent – chory przychodzący z wolna do zdrowia.

– Nie chcę się naprzód chwalać – dokończył kaszląc – ale czuję, że stworzę coś natchnionego. Mogą być błędy... lecz będzie życie i poezja...

Postrzeżliśmy oba, gdy kończył, że się rozmową znużył i wyczerpał zupełnie. X zamknął mu usta, zmusił położyć się i zamilknąć.

Był posłusznym. Leżącemu już na sofie i okrytemu pledem podaliśmy ręce, życząc mu dobrej nocy...

I była to noc dobra, ostatnia.

Rozmarzony usnął z obrazem ideału w oczach, aby się nie zbudzić więcej... We dwa dni potem szliśmy za jego pogrzebem, a za trumną postępowały w żałobie narzeczona i jej matka... Nie wiem już, czy co więcej wzięły po nim w spadku nad płótno, na którym blada... smutna unosiła się Gretchen, jakby goniona w obłokach ducha, który uleciał przed nią...

1883